

PRZED PODNIESIENIEM KURTINY

Sezon ogórkowy ma się ku końcowi. Już niezadługo kurtyny teatrów pójdą w górę, posypią się premiery, będziemy mieli więcej wystaw malarstwa, więcej odczytów, młodzież wypełni szkoły, rektorzy wygłoszą inauguracyjne wykłady. Jesienny wiatr z pewnością wpłynie orzeźwiająco na senną podłazę lata atmosfery w Łodzi.

A więc jeszcze jeden nowy sezon! Fala życia kulturalnego wzniesie się wyżej, nieładny się jednak, powodzi nie będzie. Od lat trwa w naszym mieście ów dziwny stan, który nie jest wprawdzie posuchą, ale także trudno go nazwać okresem białego rozkwitu życia kulturalnego. Ten stan trwa i — nie odbierając chleba prorokom — potrwa jeszcze długo.

Pewną część wartości kulturalnych tworzą — jak wiadomo — powołani do tego ludzie, inni zaś te wartości upowszechniają przy pomocy odpowiednich środków. Z tym jednak, że w procesie tworzenia uczestniczą nie tylko łodzianie — literaci, uczeni, plastycy, czy muzycy, ale wszyscy twórcy w kraju i świecie. Natomiast sieć instytucji upowszechniających, a i sami działacze to już sprawa przede wszystkim łódzka.

Mimo oczywistej niemożliwości monopolu w zakresie tworzenia wartości kulturalnych, można dla jasności obrazu, wyodrębnić na chwilę nasze lokalne środowisko twórcze. Obraz zaskakuje sprzecznościami. Warto przynajmniej jedno zauważyć — mamy nareszcie wydawnictwo! Trudno, zaiste, przecenić znaczenie tego faktu. Poraz pierwszy w dziejach powojennej Łodzi mamy własne, nasze Wydawnictwo! Jakież otworzyły się możliwości dla pisarzy, plastyków, naukowców, skrzętnych badaczy dzieł naszego regionu, dla... stop! Zagalopowałem się. Nie otworzyły się, jeżeli pominąć pisarzy. Na pewno nie mogło być dotąd inaczej. Ale teraz? W nowym sezonie? Należy się chyba spodziewać, że Wydawnictwo będzie walczyć o skupienie wokół siebie wszystkich twórców, rzuci z czasem na rynek albumy malarskie, ciekawsze prace naukowe o literaturze, monografie. Wiadomo nam, coś niecoś o możliwościach twórczych naszego środowiska naukowego; wiadomo o kłopotach Łódzkiego Towarzystwa Naukowego, które nie z własnej winy choruje, jak powiadają dowiecnie, na suchoty kieszonek. Istnieją więc na progu jesieni możliwości zaspokojenia ambicji twórczych wszystkich humanistów naszego miasta, a nie tylko jednej grupy.

Czy należy się spodziewać silnego fermentu intelektualnego w środowiskach twórczych Łodzi? Raczej nieprędko jeszcze. Tak dzieje się zresztą w całym kraju. Różnice zdań, przedmioty sporów wprawdzie są, ale dyskusji nie ma. Grupy twórcze pojawiają się i znikają jak legerdarmie Efemerydy, ale śladu po nich trudno się doszukać. To jednak ryzykowne twierdzić, że nasze „Pięte Koło” wstrząsnęło miastem, czy innymi twórcami. Nie wstrząsnęło nawet sobą. Nikt nie ogła-

sza programów i nikt ich nie zwalcza, nikt nie śledzi krytycznie pracy łódzkich twórców, krytyka literacka, muzyczna, czy plastyczna nie istnieje. Krytycy od wielu miesięcy przebywają na wczasach. Nie wiadomo kiedy zechcą powrócić.

Lecz — jak sądzę — mamy tu do czynienia ze zjawiskiem ogólnym, a skoro tak — nie można wyjaśniać w kategoriach lokalnych. Nie można twierdzić, że brak dyskusji wśród literatów tłumaczy wystarczająco obojętność Miejskiej Rady Narodowej wobec tradycji i nowoczesności w poezji. Bezruchu intelektualnego wśród plastyków nie zawdzięcza się chyba tylko niejasnemu stanowisku KE wobec sztuki. Jeszcze dość długo niektórzy twórcy będą pokazywać palcem — Wydział Kultury, Wydział Propagandy, redakcje i mówić: nie chcą nas, ożywić. Ale palec własnej piersi nie dotkną.

Tak więc w zakresie ożywienia ruchu umysłowego, wymiany zdań, polemik wśród twórców, nadchodząca jesień prawdopodobnie wiosny nie przyniesie.

A w dziedzinie urządzeń kulturalnych, bez których działacz staje bezradny, nie jest w stanie prowadzić szerokiej akcji upowszechniania kultury, jakże będzie w tej dziedzinie? Trzeba by chyba na początek zdać sobie sprawę z tego, że pod tym względem wszystko lub prawie wszystko, stoi w naszym mieście nie na swoim miejscu. Muzeum Sztuki, Uniwersytet, Opera, Wyższa Szkoła Plastyczna, Muzyczna, Filmowa, Operetka, cały szereg kin, teatr studencki „Pstrąg” — wszystkie te instytucje i jeszcze inne zajmują przypadkowe pomieszczenia. Ten stan nikogo, oczywiście, nie oskarża prócz kapitalistów. Można tylko cieszyć się, że te instytucje mimo wszystko powstały, można się dziwić, jak zdolano je poupychać. Czy należy liczyć na wielki rozmach budownictwa kulturalnego w Łodzi, teraz, w najbliższym czasie? Nie należy.

Budowa Teatru Narodowego, który ma być gotowy w 1961 roku, a nie tej jesieni, pochłonie jeszcze 130 milionów złotych. Przebudowa Teatru Jaracza — chcę podać kilka przykładów — kosztować będzie 6 mln. zł. Przebudować trzeba, gdyż teatr stanie się niebawem niebezpieczny dla widzów, już dziś zaczyna trzeszczeć. Tyle samo wyniesie koszt wykończenia Filharmonii, nowy gmach operetki pochłonie jeszcze 20 mln złotych. A muzeum archeologiczne, a nowoczesna galeria sztuki, której nie mamy. A kina? Mamy ich w Łodzi 22 i 7.900 miejsc. Powinniśmy mieć 40 kin i 17.500 miejsc. Trzeba budować. Łodzi brak 50 bibliotek rejonowych. Trzeba budować. Na dobra sprawę brak 6 dzielnicowych domów kultury i 5 dzielnicowych teatrów. Trzeba budować. A nowe gmachy dla szkół, a pomniki?

W najbliższym czasie tych potrzeb zaspokoić niepodobna, ale uporczywa walka o kredyt trwa, z kinami będzie lepiej, budowa

Teatru Narodowego, operetki, muzeum — to są fakty niezaprzeczalne. Skromny i raczej daleki od samoreklamy nasz Wydział Kultury powinien być w tym miejscu wymieniany. W naszym kraju zwykło się cenić tylko gotowe dzieła, warto jednak ustalić jakiś order za skuteczne przelicanie się przez gąszcz zaleceń finansowych i wciąż wąskie, przejścia, prowadzące do ludzi, których podpis oznacza miliony.

Trudno więc spodziewać się, że w nowym sezonie kulturalnym powstaną nowe, wspaniałe gmachy, że rozwinie się zadowolająco sieć instytucji kulturalnych. To pewne. Cudów nie ma, zwłaszcza w kraju, którym kierują marksści. Ale można oczekiwać, i to jest najważniejsza możliwość w nadchodzącej jesieni, że wreszcie zacznie się w naszym mieście jakaś określona, zwarta, polityka kulturalna. Nie można jej było prowadzić dotąd, póki nie było wiadomo, kto jest gospodarzem, a kto gościem. Rozróżnienie to jest już, no decentralizacji, zupełnie wyraźne. Gospodarzami w Łodzi sami. Polityka repertuarowa w teatrach, kinach, w zakresie imprez artystycznych, ruchu wydawniczego — to tylko fragmenty rozległej dziedziny. Czy opanuje ją nasz łódzki gospodarz? Trzeba mu najpierw pomóc, życzyć powodzenia, a z sądami trochę jeszcze poczekać.

NA PRZYSTANKU

Patrz str. 2 i 3



odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

24

Rok I. Łódź, 10 sierpnia 1958 r. Cena 1 zł nr



HENRI CRESPI

Tłum. JAN JANISZEWSKI

LIST

Od tłumacza

„List” wywołał b. żywą dyskusję wśród moich najbliższych znajomych. Wypowiedzi były b. różne.
— Wytwór egzystencjalizmu.
— Wiadomo — Francuzi są nawskroś dekadentami (?).
— Do czego prowadzi dobrobyt?
— Tego można się spodziewać tylko po Francuzie.
— Okupacja.
— Miał bziaka.
A jeśli można, to wtrąć zdanie mojej żony:
— Żeby tylko ten list nie przypominał ci pokerka z czasów kawalerskich!
Mam propozycję — może poddać opowiadanie pod dyskusję Waszych Czytelników?

Przeczytaj ten list uważnie, a na pewno mnie zrozumiesz. Z blura wyszedłem o godzinie siódmej. Przed chwilą wręczył mi pan Gressin kopertę z wypłatą, o której myślałem przez cały dzień. Po raz pierwszy od sześciu lat, odkąd tu mieszkamy, zauważyłem, że jest słonecznie, urocz. Oczywiście turysty patrzyłem na aleję Mirabeau i promienie słońca igrające wśród liści platanów. Po raz pierwszy wydały mi się znajome twarze osób przebywających na tarasie kawiarni „Pod chłopcami”. Przypomniał mi się debiut w piśmie szkolnym sprzed dwudziestu lat:

i niebo nad dachami
tak ciche, tak niebieskie...

Nie lubiłem wracać myślami do przeszłości, niewiele powiedziałem Ci o swym dzieciństwie. Prosta i prawa droga życia pozostawiła Ci wspomnienia o dziadku grającym w damkę i jego czerwonych pantoflach nocnych. Po skończeniu szkoły nie miałas innych kłopotów poza pomocą matce w gospodarstwie, a przez cały tydzień oczekiwałaś na sobotni seans popołudniowy w kinie. Celem twego życia był mąż, dzieci i ich wychowanie. Czy powinienem mówić o swojej młodości? Czy można rybę nauczyć lotu? Rodzice zostawił Ci pełną siłę, lecz bezbronną; uważali, że jedynym zajęciem kobiety jest usługiwanie mężowi — mężowi, który zapewni dobrobyt, przyjemne wakacje i opiekuje się rodziną w czasie zawieruchy wojennej. Rodzice moi zostawili mi w spadku ambicję, egoizm, upodlenie i marzytelstwo. Jak wielka przestrzeń dzieliła nas od siebie! Ty pojmywałaś, że życie nie jest takie proste, a ja uważałem, że nie jest wcale skomplikowane. (c. d. na str. 7)



CZY BOGACTWO NARODOWE

KONSERWATYZM STRASZY?

Okazuje się, że tak. Wiedzą o tym najlepiej ludy kolonialne, a m. in. narody Środkiego i Bliskiego Wschodu, którym najpierw Francja, a potem Anglia i USA odebrały wolność wraz z arcybogatymi złożami ropy naftowej. Ba, ale Polska żyje przecież w innych warunkach, jest państwem suwerennym i niepodległym, u-narodowiała przemysł, transport, wody, lasy, a także bogactwa jakie mieszczą się w głębi ziemi. A mimo to śmiem twierdzić, że w kraju naszym występują niekiedy paradoksalne zjawiska powodujące, że bogactwo narodowe staje się nieszczęściem. Po prostu miast zrobić, tracimy na naszych bogactwach rocznie od 25 do 30 mln złotych. Sądzi się, że z braku zdolności wytwórczych?

Nieumiejętności rządzenia? Nie podobnego! Z konserwatyzmu. Tak, tak, konserwatyzmu i skostnienia, z rutyną i leką przed nową myślą, nową techniką, praktyką, nauką. Nie wierzycie? Oburzacie się i protestujecie? Możecie służyć przykładami wręcz odmiennymi? Ależ ja mam również ważki argument i to z dziedziny fundamentalnej dziś w kraju — przemysłu budowlanego. Argumenty poparte oświadczeniami wybitnych naukowców, cyframi i wskaźnikami ekono-

nomistów, słowem — czarne na białym.

ŁADNY GIPS

W ostatnich dniach wszystkie gazety w kraju trąbią na głos o nowym bogactwie Pałki, odkrytym w dolinie rzeki Nidy. Według obliczeń geologów w jednej tylko niecce, leżącej na pograniczu trzech wiosek — Gacki, Wolf Zagajskiej i Krzyżanowic Górnych spoczywa 30 mln ton gipsu. A za jedną tonę płaci zagranica 2,5 dolara. Gips leży wprost na powierzchni i wystarczy nawet zwykły kilof by go wydobyć.

Czy tylko w jednej miejscowości? Bynajmniej. W całym kraju mamy ponad 350 mln ton szarego kruszcza. I to jakiego! Fachowa literatura światowa, a zwłaszcza angielska i japońska określają nasze złoża jako najobfitsze i najlepsze na świecie.

No i co? — zapytaicie. Dlaczego więc nie wykorzystujemy ich dla własnych potrzeb i na eksport? W tym właśnie sęk. Konserwatyzm przeszkadza.

CO TANIE — TO NIEDOBRE

Przez dwa dni siedziałem w Busku-Zdroju, gdzie dosłownie zjadłem się specjalami, słuchałem koncertów defektowałem się wyśmienitą kawą, jechałem wytwornym autokarem i to wszystko na koszt... nie, nie własny, ani państwa, lecz

dyrekcji pewnego kombinatu. I nie tylko ja, byłem tym szczęśliwym. Ponad 60 dziennikarzy i fotoreporterów z całego kraju, profesorowie wyższych uczelni, wyżsi urzędnicy Ministerstwa Budownictwa, Centrali Importowo-Eksportowej „Minex”, inżynierowie i dyrektorzy przedsiębiorstw budowlanych, słowem — około 150 osób korzystało z tych samych co ja przywilejów.

W jakim celu zaproszono nas do tego uroczego zakątka ziemi kieleckiej? Czy jedynie po to by nas ugościć i nakarmić? Bynajmniej.

Oto w 1956 r. uruchomiono tu ogromny i nowoczesny kombinat przetwórstwa gipsowego pn. „Dolina Nidy”. Obiekt kosztował „nie wisko”, bo 110 mln złotych. Rząd nasz słusznie liczył, że skoro zagranica używa gipsu do budownictwa mieszkaniowego — dlaczego Polska ma być wyjątkiem i budować z deficytowych i

jednej tony cementu zużywa się 300 kg węgla, wapna — 220 kg, a jednej tony gipsu tylko 60 kg węgla, to interes rzeczywistości się opłaca. Jeżeli zaś dodamy, że z tworzyw gipsowych można też produkować trwałe i kolorowe materiały podłogowe (zastępujące drewno), że w mieszkaniach z bloków gipsowych jest ciepło i sucho — to dlaczego budowania taniej i dobrze? Szusznia decyzja? Jak najbardziej! A jaki rezultat? Gips, a raczej — jak mówi się ironicznie — „ładny gips”. Czy wina w tym rzędu, o którym w poprzednich latach pisano, że wydał tyle milionów na niepotrzebne obiekty planu pięcioletniego? Nie! A czyja?

W tym właśnie celu ludzie z kombinatu „Dolina Nidy” zaprosili nas do Buska, by utulić wreszcie dlaczego niewykorzystane są bogactwa miejscowe, a zakład

stracił w ubiegłym roku o około 30 mln złotych.

stracił w ubiegłym roku o około 30 mln złotych.

stracił w ubiegłym roku o około 30 mln złotych.

stracił w ubiegłym roku o około 30 mln złotych.

stracił w ubiegłym roku o około 30 mln złotych.

JEST NIESZCZĘCIEM?

stracił w ubiegłym roku o około 30 mln złotych.

CIUDZE DOŚWIADCZENIE NAS NIE UCZY

stracił w ubiegłym roku o około 30 mln złotych.

stracił w ubiegłym roku o około 30 mln złotych.

stracił w ubiegłym roku o około 30 mln złotych.

stracił w ubiegłym roku o około 30 mln złotych.

DO REDAKTORA BELFRA —

w sprawie Anny Frank

Szanowny Redaktorze! W 18 numerze „Odgłosów” przeczytałem świetny felieton Pański z cyklu „Nasza szkółka” o tytule „Traktacik o bohaterstwie”. Dużo słów poświęcił Pan sprawie Anny Frank, poruszając zresztą ten problem w sposób ciekawy, bo nie banalny. Ale zniechęca wymknęło się Panu pewne zdanie, na które warto jak mi się zdaje, zwrócić baczną uwagę. Napisał Pan mianowicie, iż:

„Anna różniła się od setek tysięcy takich jak ona wymordowanych dziewcząt żydowskich tylko tym, że napisała pamiętnik, który zresztą nie stanowił rewelacji ani z punktu widzenia historycznego ani artystycznego. Jest ciekawy jak na piętnastoletnią dziewczynę. To wszystko. Pamiętnik ten, po odnalezieniu został rozreklamowany, zresztą z przyczyn czysto handlowych.”

Otóż i to. Przede wszystkim wypada zauważyć, że pamiętnik Anny Frank stanowi — mimo Pańskiej opinii — rewelację z różnych po kolei punktów widzenia, między innymi historycznego i artystycznego także. Stanowi bowiem wstrząsający w swojej wymowie dokument epoki, tym ciekawszy i bardziej bezpośredni, że zanotowany ręką piętnastoletniego dziecka. Jest w tym pamiętniku groza o jakiej stworzeniu marzyć nawet nie może prozaik budujący fikcję literacką. Zeby się o tym przekonać, wystarczy przejrzeć pokrewne tematycznie powieści, tak jak pamiętnik Anny — traktujące o „epoce pięćców”. Przejmujący autentyzm, oto co dominuje w „Pamiętniku” — i przytłacza każde jego słowo. I dzięki autentyzmowi — dokonana przez dwóch dramaturgów adaptacja sceniczna „Pamięt-

nika Anny Frank” potrafi wrzucić ludzi nawet zazwyczaj opanowanych. Dwa razy oglądałem spektakl w Warszawie i w Krakowie. I dwa razy obserwowałem to — jakże niecodzienne zjawisko. Ot sytuacja, przy której nasze zbytnio zwykle i tylekroć razy już skompromitowane kryteria oceny stają się bezradne. Zgadzamy się jednak, że ten rodzaj oddziaływania cechować może jedynie niepowtarzalne dzieło sztuki. Niepowtarzalne w swoim rodzaju i przyzna Pan — niezwykle.

Pozostaje druga sprawa. Czy pamiętnik Anny Frank istotnie — jak Pan pisze — został rozreklamowany z przyczyn czysto handlowych? Takie stawianie sprawy wydaje mi się z gruntu niesłuszne. Wiemy doskonale o tym, że świat zachodni jest w wystarczającej mierze skompromitowany i bezwzględny, że by sprawę zysku stawiać na pierwszym miejscu. A jednak w wypadku „Pamiętnika Anny Frank” było cokolwiek inaczej. Pamiętnik Anny po prostu znalazł się na czasie. Odnaleziono go, gdy ostatniej wojny zaczęła znikać z serc i umysłów ludzi, a zarazem poczęła czaić się groźba nowej zawieruchy. Być może — okrutniejszej niż poprzednia. Mówienie o aspekcie handlowym jest więc przesadnym uproszczeniem sprawy, uproszczeniem bardzo nie na miejscu, które mógł Pan sobie darować. Pamiętnik Anny, niezależnie od tego, czy ktoś na nim zarobił, czy też nie, odegrał olbrzymią rolę w kształtowaniu świadomości wielu ludzi po tamtej i po naszej stronie. Odegrał i odgrywa nadal. W tym kontekście nasze spory, oceny, komentarzyki i rozważania mogą być tylko błahe, tylko niepotrzebne.

EDWARD ETLER



NA PRZYSTANKU

„Łódź jest brzydka. Łódź jest szara. Zadymiona. Brudna. Chaotycznie zbudowana...” Tę nutę znamy. Możemy do niej dodać jeszcze wiele epitetów. Potrącić gorzkie struny. Inwencji nie braknie. W razie potrzeby zacytujemy wiersz o limfatycznych dzieciach. Wyceľujemy obiektyw na odra-paną kamienicę. Na ściek. Na kolejkę przy studni. Na prostytutki.

Tematów nie braknie. I gorzkich i nie gorzkich. Choćby ta półtowarta brama fabryczna. To okno na trzecim piętrze, do którego słońce zagłada. Musi być duszno w tamtym mieszkaniu. Ta dziewczyna, która już trzeci raz przeszła obok nas.

Najczęściej można odkryć — banał. Wystarczy nastawić obiektyw na mieszkanie państwa Matysiaków, Kowalskich czy innych Zielińskich. Sfotografować kilka samochodów, przechodniów. Karetki pogotowia. Ach, możemy nawet zapuścić sondę w dziedzinę gospodarcze, socjalne, zawodowe.

Możemy dokonać podziadu miasta „na dzielnicę”, w miarę pociągającego, w miarę „głębokiego”, wedle społeczno-ekologicznej struktury. Są te dzielnice w Łodzi — czarne i białe — tak jak dawniej były pałace i rudery.

Kominy dymiące? Też banał. Motyw dawno ograny. Ale tu już sprawa nieco się komplikuje. Chcąc nie chcąc poza banałem widzimy życie. Oglądamy wycinek życia. Rzeczywistość nie zawsze „płoszy snu pie-szczoty”. Choćby ta panorama ulicy. Choćby przystanek tramwajowy.

Rzeczywistość jest na pewno bogatsza od obiektywu dziennikarza. Czy wystarczy przyjąć, usiąść na ławeczce i obserwować ludzi? Od czasu do czasu „uciąć” o-kolicznościową rozmówkę? Czy wystarczy suchy zapis reporterski? „Prawa ućuć są równie potrzebne jak prawa optyki” — rzekł jeden z ojców dziennikarstwa.

Jesteśmy na Pabianickiej, przy stacji tramwajów podmiejskich. Przed nami ta sama Piotrkowska — „ściek” i ta sama Piotrkowska — banał. Za nami drogowskaz: do Pabianic, Rzgowa, Tomaszowa. Cóż tam kryje się w tym zamglonym w słońcu, „ruchliwym trakcie fabrycznym”? Ściek, banał? Co za ludzie ściągają z wielu ulic na przystanek tramwajowy? Fotografujemy. Rozmawiamy, wyklócamy się.

Dziewczyna defiluje już po raz czwarty. Nie patrzy na nas. My patrzymy na nią. Jest młoda. Starszawy pan, zapewne urzędnik, nie odrywa od niej oczu. Nie widzi w niej nic poza wprost bezczelną młodością. Dziewczyna przystaje. — Słuszny facet, co? — Gdzie pani pracuje? — Uczę się. — Gdzie? — Licum dentystyczne. Dziewczyna jest ładnie ubrana. Ze smakiem. Kupuje w Klubie Prasy zagraniczne modele. Wyjeżdża na Mazury. Rozgadała się. „Klawo jest”. Przechodzi para z rękami popłatyanymi na plecach. Przechodzi robotnik. Stary człowiek usiadł na trawniku.

— Żyje się, co? — Stary człowiek patrzy nieufnie. — Ano, żyje się. — Wystarczy? — Ano... starcza... musi...

(Dokończenie na str. 3)

Na przystanku



Fot. STEFAN MICHAŁOWSKI

(Dokończenie ze str. 2)

Z Piotrkowskiej wysypuje się tłum ludzi. Pusty przystanek zaludnia się tysiącem głów. Młoda dziewczyna skacze do pedzającego tramwaju. Milicjant gwizdże, ściągając ją ze stopni, legitymuje.

— Niech panienska nie fruwa, bo powiozą panią. — Pan nie będzie płakał.

— Będę, nie będę. Proszę dziesięć złotych.

Robotnica jedzie na tylnym pomoście. Wiezie bałkę. Dziecko dźwiga kosz. Młode dziewczęta wysypały się z tramwaju. Idą „na zmianę”.

— Gienka ma nową bluzkę.

— Popatrz. Pewnie jej Mietek kupił.

— A kupił, kupił. Jakbym mu nie dała na to kupno...

Przyjeżdża łodzian z blatym wózkami. Ełsy człowiek wstał nagle i biegnie do tramwaju. Starszy pan chodzi krok w krok za młodzieńką dziewczynką. Tramwaje są oblepione ludźmi. Skrecają w prawo, na lewo, na północ, na wschód, na południe. Ciężarówka mkną Pabianiczką.

Mamy mnóstwo tematów. Możemy pisać o miłości, o prostytucji, o złodziejstwie, o próżniactwie, o bezmyślności. Wszystko tutaj jest, wszystko można kupić jak

w pobliskiej halli targowej, nad wszystkim świeci lipcowe słońce i nad wszystkim czuwa spocony milicjant.

Te migawkowe zdjęcia to ułamki jakichś zdarzeń, faktów, zjawisk. Chcielibyśmy te zjawiska oznaczyć, powiązać z terenem. Od przystanku bieżą trzy promienie, wzdłuż których rozbudowuje się miasto: Pabianicka, Rzgowska i Dąbrowska. Łódź buduje się wzdłuż linii komunikacyjnych. Łódź rozrasta się, podchodzi do sąsiednich wsi, wchłania je, posuwa się coraz dalej na południe, na północ. Dlatego jest tak rozległa. Dlatego w swej przestrzeni — piękna. Widać kominy. Zakłady Bawełniarskie. Zakłady Wełniarskie. Wozy ciężarowe. Taksówki. Tramwaje. Ludzie w tramwajach. Ludzie na przystanku. Ludzie, którzy śpią dziesięć czy dwadzieścia kilometrów za Łodzią, a pracują w Łodzi. Łódź uważają za swoje miasto. Ludzie nie związani z żadną dzielnicą Łodzi — ani z Chojnami, ani z Widzewem, ani z Bałutami — a jednakże łodzianie. Ich „dzielnicą” jest ten przystanek tramwajowy. Sto tysięcy ludzi. Sto tysięcy łodzian. Miasto sięga dalej niż rogatki, niż sąsiednie wsie. Przystanek tramwajowy — jedno z serc miasta.



OSCAR LINDAY

GENERALNA OFENSYWA na PACYFIKU



Strategiczny obszar Mikronezji. Przerwaną linią oznaczono oś rejsu floty viceadmirała Turnera. Strzałki od lewej linii wskazują desanty (Kwajalein i Eniwetok), oraz zmasowane naloty bombowe (Truk i Saipan). Linia Saipan-Truk-Rabaul wskazuje oś zaopatrzenia japońskiego dla strefy Morza Koralowego. Obszar zakreślony poziomymi liniami stanowił teren bezustannego patrolowania lotniczego i wzmożonej działalności nurkujących bombowców przeciw morskiemu transportowi japońskiemu.

Kwajalein znaczy masakra — Zwykłej rejs admirała Turnera — Desant na Wyspach Admirałcji.

— Czy są jakieś pytania? — Komandor Billhand odszedł kilka kroków odsłaniając wielką mapę wysp Marschalla, gęsto usianą chorągiewkami ze wschodzącym słońcem.

— Jeżeli można, to ja — kapitan Mitchell, dowódca niszczyciela „Laysan” powstał z miejsca. — O ile dobrze zrozumiałem laguna Kwajalein jest płytką i według przewidywań sztabu całkowicie zamieniona. Jak wobec tego zapewnimy bezpieczne wsparcie artyleryjskie dla piechoty, jeżeli obrona japońska skoncentruje się od strony laguny. Mielśmy już przecież różne smutne doświadczenia.

Na sali powstało małe poruszenie. Pytanie nosiło wyraźny charakter prowokacyjny. Dopiero po chwili ktś powiedział głośno:

— Spokój! On ma prawo pytać, jego brat zginął na Tarawie, cholera wie czy potrzebnie!

Teraz zapadła cisza. Komandor Billhand powoli podszedł do pulpitu i oparł się mocno oburącz.

— Ma prawo pytać, pomijając nawet to, czy jego brat zginął na Tarawie. Każdy ma prawo pytać. Warto jednak w tym miejscu przypomnieć panom, że nasza ofensywa różni się od ofensyw japońskiej. Japończycy zdobywali wyspy bez jednego bunkra. My musimy zdobywać wyspy-twierdze. Będziemy atakować Kwajalein, nawet jeżeli niszczyciele nie zdołają wpłynąć na lagunę. Nie będę się powtarzał. Zechcą panowie jednak pamiętać, że zdobycie Kwajalein, znaczy dla nas w praktyce tyle samo, co zdobywanie wszystkich jedenastu baz japońskich w grupie Marschalla.

— Te koncepcje mogą być słuszne — komandor Solcen uniósł się z krzesła — nie zmieni to jednak faktu, że na Kwajalein jest osiem tysięcy Japończyków, a na pozostałych wyspach w grupie Marschalla niecałe dziesięć tysięcy, a więc nie więcej niż 900 ludzi na każdej. A na Tarawie było...

— Wiem dokładnie, ilu Japończyków było na Tarawie — przerwał Solcenowi Billhand. — Zaręczę panom również, że wyścignęliśmy wszystkie wnioski z Tarawy. Nie byłem wprawdzie do tego upoważniony, ale uważam, że to należy powiedzieć. Na Kwajalein zrzućmy 30 tysięcy ton bomb i pocisków zanim rozpoczniemy atak. Przeliczcie sobie panowie, ile to wypadnie na akr.

Przeliczyliście? Wystarczy, co! To będzie masakra! Rozumiecie teraz, że w tej sytuacji koncentracja nieprzyjaciela jest nam na rękę.

Od 21 stycznia „Liberatory” dzień i noc operowały nad atolem Kwajalein. Atoł ten składał się z eliptycznego łańcucha płaskich wysp nad brzością wystających z oceanu. Wyspki okalały ponad 100 km długą lagunę. Obrona japońska skoncentrowała się wokół lotnisk i fortyfikacji na trzech wyspach: Roi, Namu i Kwajalein, od której wziął nazwę cały atol.

W ciągu dziewięciu dni zmasowanych bombardowań „Liberatory” przemieniły wyspki w labirynt kraterów. Zdjęcia rozpoznania lotniczego wskazywały, że całkowitemu zniszczeniu uległo ponad 80 proc. umocnień.

Rankiem 30 stycznia podплыła wielka flota pod dowództwem viceadmirała Turnera. Wszystkie jej jednostki otworzyły ogień i prowadziły go przez pełne trzy doby bez przerwy.

Do tej chwili Japończycy mogli mieć wątpliwości, czy atak nastąpi rzeczywiście na Kwajalein, czy to nie jest zamarkowane bombardowanie, które ma odsunąć ich uwagę od innej strefy. Gdy jednak podплыła flota amerykańska, sprawa stała się jasna. Dowódca garnizonu japońskiego wzywał o pomoc. Ale odsiecz nie przyszła.

Po burzliwej debacie w dowództwie marynarki japońskiej, zdecydowano pozostawić Kwajalein swojemu losowi. Rozpoznanie ustaliło bowiem, że ekspedycja amerykańska może stawić skuteczną czoła całej flocie japońskiej operującej w strefie środkowego Pacyfiku. W Tokio obawiano się nawet, że atak na Kwajalein jest pułapką, która ma wciągnąć japońską flotę do otwartej walki.

Amerikanie mieli jednak skromniejsze zamiary i nie trzymali długo Japończyków w niepewności.

Nocą z 31 stycznia na 1 lutego pod osłoną bezustannego ognia artylerii okrętowej, 25 tysięcy Amerykanów pod dowództwem generałów Corletta i Schmidta wylądowało na kilkunastu niebronionych wyspach bezpośrednio w pobliżu Kwajalein, Roi i Namu. Przez 12 godzin przygotowywali stanowiska artyleryjskie i pozycje wypadowe. Dopiero po tych przygotowaniach, w samo południe 1 lutego, nastąpiły równocześnie w trzech punktach atolu właściwe lądowania. Odbływały się one pod osłoną huraganowego ognia moździerzy i karabinów maszynowych ze świeżo opatrzonych wysp. Do akcji

wprowadzono natychmiast lekkie czołgi i transportowce pancerne na gąsienicach. Dowódca każdej kompanii szturmowej miał bezpośrednią łączność radiową z lotniskowcami, skąd w każdej chwili mógł wezwać bombowce nurkujące dla zniszczenia silniejszych gniazd oporu.

7 lutego bitwa o atol Kwajalein była zakończona. Amerykanie stracili w niej 1.500 ludzi, w tym 300 zabitych. Straty japońskie były niewspółmiernie wyższe i wyniosły 8.200 zabitych i 250 jeńców. Po raz pierwszy tak wielu jeńców od chwili wybuchu wojny! U większości wziętych do niewoli Japończyków amerykańscy lekarze stwierdzili całkowite rozprężenie nerwowe i graniczące z obłędem szoki, spowodowane mordczym, dwutygodniowym bombardowaniem. Japończycy ostatecznie też byli tylko ludźmi, a Kwajalein stał się poligonem artyleryjskim i lotniczym który wchłonął więcej stali i ognia niż jakikolwiek inny skrawek ziemi do tej pory. Suma wybuchów bomb i pocisków wystrzelonych na Kwajalein, dorównywała sile wybuchu pierwszej bomby atomowej, a skoncentrowała się na obszarze trzy razy mniejszym niż Hiroshima. Niechaj zobrazuje to rozmiar zniszczenia tym, którzy przyzwyczaili się myśleć kategoriami militarnymi „nowej epoki”.

Klin amerykański głęboko i boleśnie wbił się w skrzydło japońskiej obrony. 16 lutego wyodrębniona z floty ekspedycyjnej grupa podплыła pod atol Eniwetok (dzisiejszy amerykański poligon wodorowy) i wzięła go szturmem po krótkim przygotowaniu artyleryjskim. Eniwetok broniło tylko 300 Japończyków, niemniej straty amerykańskie, zwłaszcza w zabitych, były niewiele mniejsze niż przy zdobyciu Kwajalein. To była jeszcze jedna, ale już ostatnia nauka dla Amerykanów, że z Japończykami można walczyć tylko — jak sami mówili — metodą pałki i sztyletu — najpierw ogłuszyć, potem dobić. Gdzieś podziały się te zwyczaje, gdy dwaj piloci spod wrogich znaków dawali sobie nawzajem szansę w walce. A było tak i to przecież w niezbyt odległej historii. Trzeba jednak oddać sprawiedliwość Amerykanom: oni chcieli żyć, dla Japończyków zaś, w ich najgłębszym przekonaniu, śmierć była nagrodą. I to im drożej kupiona, tym cenniejsza!

Główny trzon potężnej floty viceadmirała Turnera kontynuował rejs zaczepny, i w tym czasie,

gdy na Eniwetok trzaskały pistolety maszynowe podплыł pod największe bazy japońskie na Pacyfiku — na wyspach Truk (w archipelagu Karolińskim). Viceadmirał Turner rozporządził kilkunastu lotniskowcami i rzucił do walki ponad 600 bombowców nurkujących i torpedowych. Ten atak, zarówno przez jego siłę, jak rozmach, można było porównać z atakiem japońskim na Pearl Harbor. W jego wyniku stracili Japończycy 20 okrętów wojennych i ponad 200 samolotów. Większość floty japońskiej opuściła bazy w Truk i uknęła na północ, decydując się raczej osamotnić węzłowy punkt strategiczny jakim były te wyspy, niż ryzykować spotkanie z Amerykanami w otwartej bitwie.

Amerikanie jednak nie próbowali zdobywać Truku. W pościgu za japońską flotą wdarli się daleko na wewnętrzne wody obrony japońskiej i zrównali z ziemią lotniska i port wojenny na wyspie Saipan.

W związku z tym wydarzeniem, tego samego dnia (21 lutego), w stolicy cesarstwa nastąpił pierwszy szok polityczny. Aresztowano kilku dowódców marynarki wojennej a funkcje szefa sztabu armii objął osobiście generał-premier Tojo.

Japońskie zaopatrzenie dla strefy Morza Koralowego biegło w prostej linii przez Saipan i Truk do Rabaul. Atak lotniskowców amerykańskich i zniszczenie baz w tych dwóch punktach zdezorganizowało cały łańcuch dostaw armii japońskiej na Nowej Brytanii, Nowej Irlandii i Bugainville na Wyspach Salomona. Zanim Japończycy zdolał przywrócić normalne funkcjonowanie zaopatrzenia, spadły na nich następne ciosy.

Po tygodniowym bombardowaniu desant piechoty morskiej wy-

ładował 29 lutego na wyspce Los Negros w grupie wysp Admirałcji. Po umocnieniu przyczółka Amerykanie nie śpiesząc się z atakiem w głąb wyspy, bombardowali ją nadal systematycznie, zamierzając zapewne powtórzyć masakrę z Kwajalein. Japończycy, ponosząc ogromne straty, przetrzymali wszelkimi sposobami na Los Negros posiłki z innych wysp. Amerykanie jednak wciąż zwlekali, natomiast uderzyli niespodziewanie na dwie inne wyspy archipelagu: Hauwei i Budjolo, opanowując je bez specjalnego wysiłku. Wówczas Japończycy podjęli szereg rozpaczyliwych kontrataków, w których padło trupem prawie trzy tysiące ich żołnierzy. Los Negros zdobyli Amerykanie ostatecznie 15 marca i już w dwa dni potem przetrucili blisko 40 tysięcy ludzi na największą wyspę archipelagu — Manus, ładując równocześnie w kilku punktach i kawałkami obronę japońską na drobne grupki, aby zniszczyć je cztery dni później.

To był ostatni akt walki o strefę Morza Koralowego. W Lorengau, na wyspie Manus, znajdowały się doskonałe lotniska, które mogły przyjąć nie tylko lekkie samoloty, ale nawet „latające fortece”. Natychmiast przyleciały na Manus najnowsze bombowce nurkujące, „Piekielne nurki” (Helldiver), cieszące się już złą sławą w marynarce japońskiej. Znaczenie wysp Admirałcji polegało na ich wyjątkowo korzystnym położeniu. Usytuowane na tyłach japońskiej obrony, umożliwiały wprowadzenie bombowców nurkujących w bezpośredni kontakt z zaopatrzeniem japońskim. Na każdych pięć płynących do Rabaul transportowców nieprzyjacielskich, tonęły cztery. Nawet noc, w epoce radaru, nie mogła stanowić osłony. Tej kalkulacji strat nie było w stanie wytrzymać żadne mocarstwo, ani uświadzić żaden cel strategiczny. 72-tysięczne rezerwy armii japońskiej, okryte chwałą służby cesarstwu w bohaterskiej, nieprzejednanej obronie Wysp Salomona i Nowej Gwinej, rozpoczęły ewakuację. Nie poddał się nawet wtedy, gdy ta ewakuacja przybrała obrót angielskiego odwrotu z Dunkierki.

Wojna w strefie Morza Koralowego, trwająca bez przerwy dwa lata, była praktycznie zakończona.

(C. d. n.)

BARBARA EYSYMONTT

BALLADA SAMOBOJCZY

Niech noce zburzone do dna
Zaleją gałęzie wierzby
I drogę, która prowadzi
W ciemny las, do nikąd
Ptaki niech się zakrzuszą
Kamieniem gwiazdy zimnej,
Bracia, nie znam spokoju,
Nie umiem powitać słodczy.
To nic, nocy wystarczy
Głębokiej, spalonej na popiół...
Łyk pierwszy jedynie się liczy.
Wiatr niech sparzy gałęzie,
Wyrwane drzewa porzuci,
Wdepcze je deszcz w czarną ziemię,
Sznurami ulewy przywiąże...
I w kołowrocie świata
Zamęt otworzy oczy,
To tedy przejdzie rzeczy
Dobrych i świętych pogrzeb.
A wicher niechaj ryczy...
Jedynie łyk pierwszy się liczy.

MARIAN OŚMIAŁOWSKI

FENIKS

Jesteśmy Feniksami. Nasze skrzydła,
skrzydła zniszczone
przez ludzką złość, głupotę i tępotę,
odrastają błyszczące.
W miękkie noce nas unoszą
znów pociągi kolyszące.

str.

odgłosu

NIE CODZIEN SOLDY W PARYŻU

Szanowny Redaktorze!

Donoszę Panu uprzejmie, że paryski dom towarowy różni się od łódzkiego zaledwie kilkoma zewnętrznymi cechami. Rodzajem sprzedawanej odzieży, obco brzmiącym dla naszego ucha językiem sprzedawców, inną walutą obiegową (frank) i... grzecznością personelu. Zresztą, co do języka to popełnieniem pewną nieścisłość. Łatwiej tu się srogadać niż z naszym subiektem, który wydaje nieartykułowane dźwięki, zamieniające



się w mowę ojczyzną dopiero po datku finansowym. Wracając jednak do różnic i podobieństw nadmienić należy, że architektura (za to!) jest tutaj równie brzydka jak nasza, a wystrój wewnątrz podobny, jeśli nie liczyć lustrzanych gablotek, w których na niebotycznych szpilkach stoją buty włoskiej marki „Perugia” — marzenie dziewcząt z całego świata i połowy Ameryki. Gdyby były tańsze (mowa o butach, nie o dziewczętach) wówczas nie byłoby marzeniem. A że kosztują swoje 6, 7, a nieraz i 8 tys. franków, przeto przeciętnej paryżance, no i turystce przybyłej z daleka — pozostają jedynie — soldy...

Słowo „soldy” skojarzy się p. Redaktorowi z popularną, włoską piosenką o dwusoldowym tytule. I słusznie. Bo jak piosenka ta jest niezwykle tania (dwa soldy to żaden grosz) tak i paryskie soldy, organizowane przez domy towarowe — to wyprzedają za bezcen. Właśnie za soldy, ale w przenośni, bo w istocie nie są one w Paryżu monetą obiegową. A więc na soldach, czyli w jednym z trzech dni masowej wyprzedaży — kupić można wszystko i to bardzo tanio, często za... 20 proc. rzeczywistej wartości towaru, obowiązującej jeszcze poprzedniego dnia. Rzecz w tym, że zapobiegliwi paryscy kupcy nie lubią, gdy u schyłku sezonu magazyny ich domów zapchane są mało osobliwymi, albo zbyt wysoko wycenionymi rzeczami. Minie zima, moda się może zmienić i co pocznie posiadacz 300 tysięcy czerwonych damskich rękawiczek i wysmukłych parasolek w groszki? Wygodniej, póki czas, szybko upłynąć remanent. Nie muszę dodawać, że to rozwiązanie problemu spotyka się z wyjątkowym entuzjazmem nabywców.

W „dzień soldów” zmieniają się tylko ceny. Grzeczność personelu pozostaje taka sama jak codzień i jak zwykle trzy ekspientki obsługują każdą klientkę z osobna. Na jednym ze zdjęć, które p. Redaktorowi przesyłam, widać tę, jakże egzotyczną dla nas akcję — wyraźnie.

Musi Pan jednak, Szanowny Redaktorze wiedzieć, że trudno w paryskim domu towarowym poczynić bardziej zasadnicze obserwacje. Na przeszkodzie staje pokusa, której oprzeć się jest raczej ciężko. Powiem,



żeby znał Pan rozmiar poświęcenia Pańskiego reportera. Oto dwóch moich kolegów, którzy w przeciwieństwie do mnie — nie mieli na głowie zdjęć i reportażu, czas wizyty w domu towarowym — acz były soldy! — spędzili na podróży windą. Trwało to tak długo, że gdyby dodać do siebie poczynione przez nich rejsy, wyszlaby z tego wcale nie krótka a modna w tym sezonie podróż międzyplanetarna. Niech to Pana nie dźwi. Każda spośród trzech pracujących w skupieniu windziarek — mogłaby zostać gwiazdą w filmie fabularnym. Zważwszy to, życzę Panu rychłej tu wizyty.

S. L.

Paryż, sierpień 1953 r.

List napisał i zdjęcia wykonał
SZYMON AECH

LUNAPARK

Hr 1. 10. VIII. 57 Rok I

Zamiast artykułu wstępnego:



WYBIERAMY MISS LUNAPARK 58

Począwszy od bieżącego numeru, publikować będziemy nadesłane przez Czytelników fotografie. Pod koniec roku rozpiszemy plebiscyt i Czytelnicy przeprowadzą losowanie. Laureatki naszego konkursu zdobędą atrakcyjne nagrody, a redakcja „Lunaparku” zrobi co będzie w jej mocy, żeby zapewnić nowokreowanemu „Misskom” pierwszeństwo w zaangażowaniu do filmu. Uwaga: Przy zdjęciach prosimy podawać kryptonim, na przykład: „Ziółko”, „Biedronka” itp.

Z PRASY

STRAŻAK PRZERWAŁ HEJNAŁ ABY OBRONIC SIĘ PRZED ATAKAMI PTAKÓW

Codziennie o godz. 12 z wieży kościoła św. Elżbiety we Wrocławiu rozlega się hejnał. Na wieży tej uwily sobie gniazdo ptaki które zaczynają atakować strażaków, godząc szponami i dziobami oraz bijąc skrzydłami. Zaatakowany musiał przerwać hejnał, aby obronić się przed napastnikami. („Dziennik Łódzki, dnia 27 lipca 1958 r.)



— PROSZĘ O ZIELONE!

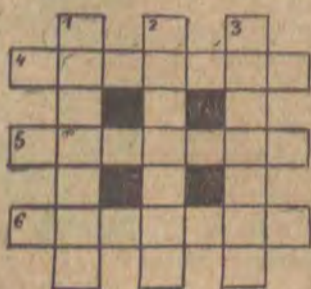
Z cyklu

EROTYZM W PROZIE

— Waldemar był straszny. Gniół jej (Stefci, przyp. red.) ręce powyżej dłoni, aż kurczyły się z bólu. Zrenice prawie czarne, palające jak wulkan, wpil w jej oczy i mówił chrapliwie: — Musisz! Musisz! — Bo ja tak chcę!

Nerwowo, podniecony śmiech wybiegił z ust Stefci, niby jak męczący. Spojrzała jak zraniona. Zawołała: — Teraz... Tak... A potem? (Helena Mniszek, „Trędowata”)

KACIK ROZRYWEK UMYSŁOWYCH



POZIOMO: 4. Nazwisko niedocennego łódzkiego poety. 5. Chiński okrzyk zdziwienia. 6. Dobry uczynek.

PIONOWO: 1. Treść znanego filmu panoramicznego. 2. Nazwisko nieznanego żołnierza. 3. Indyjskie słowo z sanskrytu.

Za trafne rozwiązanie krzyżówek, które należy nadsyłać w terminie 2 tygodni — redakcja przewiduje abonament uprawniający do nabywania 1 numeru „Lunaparku” na tydzień.

„Lunapark” — tygodnik społeczno-kulturalny. Redaguje kolegium. Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Listy prosimy adresować „Odrogasy” z adnotacją: „dla Lunaparku”.

GDY ZEGAR RATUSZOWY BIJE...

Blioko ćwierć miliona mieszkańców Łodzi przechodzi lub przejeżdża codziennie przez plac Wolności! Prawie każdy przechodzień jeśli nie z pilnej potrzeby to choć z przyzwyczajenia spojrzy na wieżę ratuszową „by sprawdzić dokładny czas”...

Stary, empirowy ratusz znany wszyscy. Byliśmy tu nie raz, czy to dla zdobycia wiedzy o przeszłości miasta, załatwienia spraw urzędowych, administracyjnych lecz na wieży ratuszowej — było niewiele.

Tym razem udało nam się uprosić „dzwoonnika ratuszowego” i oto czeka na nas w bramie od strony Piotrkowskiej. Otwiera drzwi do baszty. Szkoda, że nie nosi długiej brody, a tylko krótkie wąsiki. Tuż za bramą w niecodzienny nastrój wprowadza nas blisko 200 skrzypanych schodów, a droga poprzez zakamarki starego strychu zmusza do wspomnień z przeszłości. Znaleźliśmy się na wieży! Jeszcze kilkanaście drewnianych stopni i daje się słyszeć — miarowy, równy takt łódzkiego staruszka.

Ze starych roczników łódzkich wiemy, że w roku 1828 przywieziono nasz zegar z urzędu cełnego w Warszawie, że od 1834 r. wydzwaniała godziny i kwadransy, że przez pół wieku był jedynym zegarem publicznym w Łodzi, a dzwony sygnaturki słyszano się aż przy starym Przejeździe!

Nie tedy dziwnego, że darzone go prawie sympatią, a nawet tworzone o nim gadki i legendy.

Oto jedna z opowieści głosi, że zegar ratuszowy przez długi czas posiadał tylko jedną strzałkę — pokazującą godzinę. Zycie wlokło się wtedy w miasteczku ospale, leniwie. Dopiero gdy pewien tkacz doprowadził mu drugą wskazówkę — korystem Piotrkowskiego Traktu popłynął wartyk prąd ludzi i wozów z towarami...

O ostatnich losach zegara dowiadujemy się od naszego „dzwoonnika” — ob. Stanisława Ulankiewicza, stałego konserwatora zegara ratuszowego. Opiekę się on zegarem od 1938 r.! Od niego to wiemy, że zegar został przesłrzony przez Niemców we wrześniu 1939 r. Kula kara-



Stary Ratusz łódzki z 1827 r. Zdjęcie z roku 1925. W kole ob. St. Ulankiewicza — konserwator zegara

binowa wyszczerbiła szklaną tarczę od strony placu. Pod koniec wojny po raz drugi został „ranny” odłamkiem bomby, która eksplodowała na zbiegu ulicy Zachodniej i 11 Listopada (dziś Obr. Stalingradu). Uneruchomiony przez pewien okres, ożył na nowo — razem z miastem, wczesną wiosną pamiętnego roku 1945. W roku 1951 „nastreczono” zegarowi generalny remont. Dziś jest w pełni sił, prawie jak za młodych lat... Miałoby się wydawać, że zegar wędzowy trzeba nakręcać codziennie, gdyż odważniki schodzą tylko na 8 metrów w dół — niżej przeskakują siropy budynku.

Godzienna wzięta na wieży ma też swoje dobre strony, bowiem stop (cz. spiż), z którego jest sporządzony mechanizm zegara w dużym

stopniu podlega wpływom temperatury i wilgotności. Dla wyrównania różnic powstałych przez skurcz lub wydłużenie wahadła — konieczna jest więc stała kontrola i regulacja.

Nasze wspominki historyczne przerwały dzwony z sygnaturki ratuszowej.

Najpierw „kwadransowy tenor” zadzwonił cztery razy, a w chwilę za nim poważny „bas godzinowy” wybił dwunastą. Chwila ciszy i owo wrytuje mu młodszą o pięćdziesiąt lat zegar starej „Hipoteki”. Jeszcze chwila, a odezwą się syreny fabryczne zakładów bawelnianych im. Harnama, Marchlewskiego — będą wrywały łódzkie przasniki na drugą zmiłą do pracy...

ZDZISŁAW KONICKI

MARIAN PIECHAŁ

PIÓRO I OSZCZEP

W piątek, dnia 25 lipca br. w jednym z dzienników łódzkich przeczytałem dwie wiadomości, które mną dosłownie wstrząsnęły.

Pierwsza z nich podana mikroskopijnym drukiem, tzw. nonparelem, bez osobnego tytułu, wciśnięta jak z łaski między wiele innych różnych wiadomości, przezwannie politycznych, brzmiała następująco: „Po długotrwałej i ciężkiej chorobie zmarł w Leningradzie w wieku 63 lat znany pisarz M. Zoszczenko”. Koniec. Kropka. Cała ta wiadomość zajęła nie więcej niż cztery linijki. Natomiast druga z tych wiadomości, podana wytuszczonym garmonem, zaopatrzona w osobny wielowyrazowy tytuł, zawierała aż 31 linijek. Żeby dać pojęcie o zawartości tych 11 nijek, wystarczy podać tytuł: „Fenomenalny rekord ustanowiła Wojtaszek w oszczepie — 57,40”.

No „ak, wstrząsnęły mną właściwie nie te dwie wiadomości, wzięte z osobna, lecz ich zestawienie. W przykrych dysproporcjach akcentu, że tak powiem, ważności między całozyciowym trudem zmarłego pisarza, a jednorazowym wysiłkiem p. Anny Wojtaszek-Pazerowej, jak czytamy w owej wiadomości, „b. rezydentki Polski, a obecnie obywatelki Australii”, kryje się cała charakterystyczna dla naszych czasów miara upadku kulturalnego. Nie, bynajmniej nie chcę przez to powiedzieć, że literatura jest ważniejsza od sportu. Sam w życiu napisałem kilka wierszy na cześć wyścigów kolarskich. Moi koledzy, starsi i młodszy na cześć i chwale innych dziedzin i rodzajów sportu tak samo. Kazimierz Wierzyński napisał nawet cały zbiorek wierszy na pochwałę olimpiady sportowej słynny „Laur olimpijski”, a Jan Parandowski nawet całą powieść pt. „Dysk olimpijski”. Więc co ipso nie można w ogóle litera-

tów posadzać o jakąś szczególną niechęć do sportu czy sportowców. Wprost przeciwnie.

Jednak mimo wszystko jest ogromna różnica między wartością społeczną pióra a wagą społeczną oszczepu. I piama codziennie nie powinny tej różnicy nigdy zaierać. Ta różnica polega na trwałości między wartością a wagą, czyli między czynem a wyczynem. Bo jednak osiągnięciem bardzo słusznie podziwianym i oklaskiwanym przez szeregi masy rozmaitych naszych sław sportowych, jak chociażby: Zajac, Kuchnia, Kapłaniak, Plecyk, Czaja, Skwarto, Aluchna czy Nazimek, to tylko mniej lub bardziej krótkotrwałe wyczyny, podczas gdy osiągnięcia bardzo nie słusznie nieraz mniej za życia podziwianych i oklaskiwanych przez szerokie masy rozmaitych naszych sław literackich, jak chociażby: Norwid, Rittner, Miciński, Szaniawski, Leśmian, Nałkowska, Czechowicz, to na pewno długotrwałe czyny. Między wkładem w kulturę, że tak powiem, emocjonalną społeczeństwa czynu i wyczynu jest jednak kolosalna różnica i o tym należałoby pamiętać i komu trzeba przypomnieć. Bo, jak by powiedział właśnie Norwid, istota kultury na tym polega, żeby jasno sobie zdawać sprawę, że pióro to jest pióro, a oszczep to jest oszczep, i że nie jest żadną uchybą dla nikogo zdawać sobie sprawę z tej zasadniczej bądź co bądź różnicy.

Nie chciałbym, żeby ktoś, czytając to, mógł mnie posądzić o zawodowy niepokój literata, obawiającego się zwycięstwa oszczepu nad piórem. Wprost przeciwnie. Ostatecznego zwycięstwa pióra w każdej sytuacji jestem pewny. Na tyle znam historię. Chodzi tylko o to, że bez godnej hierarchii pióra w społeczeństwie oszczep może stracić

swoją właściwą sens i zamiast wykładnikiem kultury stać się symbolem zdżdzienca i barbarzyństwa.

Zmarły niedawno wielki pisarz rosyjski, aczkolwiek tylko humorysta i satyryk, Michał Zoszczenko, to jednak nie zwykły sobie, choćby nawet nie wiem jak słowny i popularny sportowiec. Głośnych i popularnych sportowców słusznie podziwiamy i oklaskujemy, ale wielki, choć mniej może popularnych pisarzy, niemniej słusznie czcimy i uwielbiamy. Tak jest, moł najdrożsi!

Sportowców podziwiamy i oklaskujemy, ale pisarzy czcimy i uwielbiamy! I na tym polega cała różnica między wartościami. I dlatego nie można podawać w gazetach wiadomości o śmierci Michała Zoszczenki mikroskopijnym drukiem, ukrytym gdzieś w kącie kolumny, a wiadomości o wyczynie sportowym drukiem tłustym zapoatrzoną w ogromniasty tytuł. Ktoś może powie, że to przypadek? Nie, nie przypadek. To się praktykuje w prasie od lat i coraz częściej, i coraz gęściej. A czytelnik wskutek tego nieświadomie i nieznacznie urabia sobie z biegiem lat fałszywą miarę wartości. Przestaje widzieć różnicę między Zoszczenką, przedstawicielem Rosji i obywatelem światła, a p. Wojtaszek-Pazerową „byłą reprezentantką Polski, a obecnie obywatelką Australii” — czyli między piórem a oszczepem.

Z kilkadziesiątu znakomitych opowiadań Michała Zoszczenki przeczytanych w ciągu trzydziestu mniej więcej lat mógłbym obudzić w środku nocy z najgłębszego snu powtórzyć prawie dosłownie kilkanaście, z kilkuset głośniejszych wyczynów sportowych, o których przeczytałem w prasie w ciągu ostatnich trzech lat — nie zapamiętałem ani jednego. Hic jacet lepus.

DR PAWEŁ LEVOISSIER

O NIEWIERNOŚCI MĘSKIEJ

Przestrogi i rady dla kobiet*

Ażby zrozumieć duszę mężczyzny, ażby pojąć, trzeba poznać dokładnie jego życie ze strony czysto fizycznej, trzeba nie zapominać, że każdy mężczyzna zbliżający się do kobiety, pragnie przede wszystkim zaspokoić swe żądze zmysłowe. Jest to dla kobiety uczucie nadzwyczaj przykre, kiedy intuicyjnie wyczuwa ona, że wszystkie jego uśmiechy, ugrzecznienia, komplementy itp. — do jednego zmierzają celu. I tu się rodzi pytanie na ustach każdej kobiety: dlaczego mężczyzna nie szuka w nas duszy, dlaczego nie szuka przyjaźni? Aby na pytanie to odpowiedzieć, trzeba zbadać wpraw przyczyny, które powodują rozczarowanie i zawód u tylu nieuczestliwych kobiet, które pragną czegoś więcej prócz zmysłów, które w duszy swojej budują ofiarny ołtarz miłości, gdzie umiłowany mężczyzna uchodzi niemal za bóstwo. Rozczarowanie i zawód, jakie zwykle w takich wypadkach następują utwierdzają niejedną niedoświadczoną pannę, lub kobietę w przekonaniu, że ofiara nie warta była kadzideł ani dymu, że mężczyzna przyjmując to całopalenie świętego uczucia kobiety, nie wart jest tego poświęcenia. Nie można się z drugiej strony dziwić, że życie kobiety bardziej skomplikowane pod względem swobody indywidualnej, wymaga trwałej i pieczołowitej opieki męskiej, że każda kobieta posiadająca w sobie wiele niewolniczej uległości, opieki takiej szuka. Jest to jednak uczucie właściwe każdemu człowiekowi, gdy wyrobiłaby sobie już własny światopogląd, czuje w duszy jakąś pustkę, jakiś brak, słowem nie czuje się całym człowiekiem. Przyroda już tak życie urządziła, że jednostka szuka w niem jakiegoś skoordynowania, jakiejś harmonii z pokrewną duszą drugiej płci, w kierunku wiecznego utrzymania życia i zachowania gatunku.

* Ogólne zopsucie społeczeństwa pasjonuje obecnie szeroką opinię publiczną i absorbuje pióra publicystów. Dlatego zdecydowaliśmy się na przypomnienie fragmentów popularnego niedgdyś dziełka dr Pawła Levoissiera, zachowując oryginalny styl i pisownię autora.



Młodości staropolskie

albo
porwanie
panny

Będzie w tym felietonie mowa o pannach, czyli o kobietach, muszę się więc od razu zastrzec, że przez długi czas nasi staropolscy dziadkowie uważali słowo „kobieta” za bardzo obraźliwe, niemal równoznaczne z pojęciem — ladażnicy. W użyciu były inne określenia: „biatogłowa, niewiasta lub (zartobliwie) podwika. Natomiast obelżywe dziś w naszym rozumieniu słowo „dziewka” oznaczało córkę i było ogólnie przyjęte. Oto mały przyczynek do zmienności pojęć!

Zmieniały się również motywy i względy stanowiące podstawę do zawarcia związku małżeńskiego. W najdawniejszych, staropolskich czasach wielką miłość, wielkie uczucie w dzisiejszym rozumieniu było nieznaną. W XIV i XV wieku mówiono się w świecie szlacheckim o „tak zwanym wzajemnym afekcie młodej pary, wstępującej na ślubny kobierzec. Ten „wzajemny afekt” był jednak pojęciem czysto umownym, konwencjonalnym; był on decorum, wygodną pokrywką, którą osłaniało się sprężyny majątkowe i rodzinne, jakimi powodowali się rodzice panny młodej i pana młodego, kojarząc ich małżeństwo. I nie mogło być inaczej! Brak rozwiniętego życia towarzyskiego, surowe aż do przesady pojmowanie skromności i wstydlivosti niewieściej, brak konwersacji salonowej i kontaktów towarzyskich przedstawicieli obojga pici, nie pozwalał rozwijać się założeń kobiecych ani tym bardziej głębszym uczuciom między młodzieńcem i młodą dziewczyną.

Francuz Laboureur pisał o ówczesnych Polkach, że nie znają one zgola kokieterii („la coquette n'y est point en usage”). Pod względem rozwoju życia towarzyskiego byliśmy tak bardzo zapóźnieni, że znakomity pisarz Lukasz Górnicki musiał przy tłumaczeniu na polski wybitnego utworu włoskiego Balthazara Castiglione'a „Dworzanin” zmieniać lub opuszczać wiele ustępów, gdyż byłoby one wręcz niezrozumiałe dla ówczesnego polskiego czytelnika. Rubaszni sarmaci odnieśli się do niego, jeśli nie — pogardliwie, do jakiegoś czulej, sentymentalnej miłości.

„Nie śmiem twierdzić M. Panie, aby mnie, jakom na świecie, miłość nigdy nie dotknęła — układa Górnicki w usta jednego z rozmawiających dworzan polskich niezbyt ścisła tłumaczenie z włoskiego — ale też zasie ani tego powiadam, iżbym usilnie kiedy milował miał. A jeśli mnie kto pyta, dlaczego się barzo udam w to nie chciał, przeto, iżem widział tych wiele, których miłość wędzne, strapione, blade, smętne, wysycha, a mało do ludzi podobne czyniła. Na co ja ze strachem patrzę i słysząc ich ciężkie wedywanie i ustawiczne lamenty ze łzami, jeśli mi kiedy gorętsza miłość iskra w serce weszła, hnetem się wszystką siłą i rozumem o to starał, abym ją zgasił”.

W polskim tłumaczeniu o brazy sentymentalnych kochanków, tak często spotykanych w Italii w XVI wieku w czasach przesadnego uwielbienia wielkiego poety lirycznego Petrarki nie wypadł — jak twierdzi komentator „Dworzanina”, prof. Roman Pollak — tak ekliwicznie, jak w oryginalnym włoskim. Na przykład, u Casti-

glione'a znajduje się opuszczone przez polskiego tłumacza zdanie: „O niczym owi nieszczęśliwi nie mówią, jak tylko o łzach, męczarniach (miłosnych), rozpaczach i pragnieniu śmierci”.

Jednym słowem, byliśmy „uczuciowo zapóźnieni”. Dopiero w XVI i XVII stuleciu z rozwojem kultury i życia towarzyskiego, konwencjonalny „afekt wzajemny” zaczyna nabierać rumieńców, stwarza sobie swój własny język miłosny, młode pary nie wstydzą się wyrażać swych uczuć, a w początkach XVII wieku spotykamy się nawet z pierwszym samobójstwem z miłości.

Była to głośna sprawa młodego obożnego koronnego, Żółkiewskiego, synowca wielkiego hetmana, w której uniechętyliwienie małżeństwa doprowadziło młodzieńca do desperackiego kroku. Żółkiewski zakochał się w pięknej i bogatej wojewodziance Marcjannie Daniłowiczównie. Rodzice panny odmówili jednak zgody na małżeństwo, gdyż kawaler miał złą reputację utrącającego. Zrozpaczony obożny koronny nie mogąc przeboleć zawodu miłosnego, wbił sobie na oczach panny sztylet w serce.

Na ogół jednak konflikty między młodymi a rodzicami nie kończyły się tak tragicznie. W wypadkach, w których rodzice lub opiekunowie, powodując się własnym wyrachowaniem, odmawiali zgody na małżeństwo, zakochany młody człowiek siłą lub podstępem porwował swą ukochaną z domu rodziców. Zdobyła sobie taką zachwałą akcją nawet łacińska nazwa raptus puellae, czyli porwanie panny.

Rzecz — aby się udać — musiała być dobrze wyreżerowana, przy użyciu podstępów i siły zbrojnej, jeżeli dokonywała się wbrew woli całej rodziny i panny.

Albo ponieważ serce nie sługa, więc często, jeżeli panna sprzyjała miłemu jej porwaczowi, a rodzice się sprzeciwiali, to porwanie dokonywało się wbrew ich woli, lecz za zgodą i zgodą „niewinnej ofiary”. Do tych dramatycznych perypetii dochodziło wówczas, gdy ojciec dla swych rachub finansowych lub względów koligacji usiłował narzucić córce innego niemilego jej adoratora. Scenaria i okoliczności napadu były zwykle bardzo romantyczne. Zakochany młodzieńiec ze swą zbrojną kompanią i hajduków podjeżdżał nocą w karetce pod dom swej bogdaniki. Panna — jeżeli akcja odbywała się za jej zgodą — czuwała „spakowana” z garderobą, pościelą, biżuterią. Wtajemniczony w dramat miłosny ksiądz świecki lub zakonny oczekiwał na młodą parę w kaplicy i niezwłocznie po szczęśliwym porwaniu udzielał młodej parze ślubu.

Reakcja sąsiadów i tak zwanej „okolicy” była prawie zawsze jednakowa, żadnego zgorszenia, przeciwnie, śmiech ze starego ojca-kutwy i poklask oraz sympatia dla nowożeńców.

Głośny w Rzeczypospolitej był napad w 1612 roku Aleksandra Koniecpolskiego na klasztor św. Agnieszki w Krakowie, gdzie przebywała jego ukochana Zofia Dębieńska. Biskup Piotr Tylicki rzucił za to na zachwałego szlachcica uroczystą klątwę w kościele Wszystkich Świętych.

Nie odstraszyła ona zakochanych śmiarków. Niebawem jeszcze bardziej zu-

chwale postąpił Stanisław Sokół z Polajowic. Z poczem 60 ludzi i kolosą obsadził w biały dzień Florianąską Bramę w Krakowie. Z kościoła Maryi Panny wyszła właśnie pani Małgorzata Cellarowa, czejdonna patrycjuszka z córką Barbarą. Sokół na oczach matki porwał pannę i uwięził na wieś. Ksiądz odmówił udzielenia ślubu. Młody panek nie tracąc fantazji... przebrał rodzzonego brata z księdza i

wziął z Barbarą ślub! To się nazywa pomysłowość!

Te „raptury” szlacheckie — jak mówiono o porwaniu panien — stały się tak popularne, że nieraz były nawet fingowane i dokonywane za zgodą rodziców panny. Odgrywano komedię raptu po to, żeby oszczędzić sobie kosztów wesela, które wedle ówczesnego zwyczaju musiało trwać parę dni i pociągało dla rodziców panny duże wydatki. Tymczasem, w razie porwania — szukaj wiatru w polu! Nie ma na razie panny, nie ma kawalera, nie można urządzić wesela! A gdy w jakiś czas po takim „gwałtownym” ślubie sprawa zdezaktualizuje się, jakbyśmy dziś powiedzieli, to urządzanie wesela staje się bezprzedmiotowe.

Na zakończenie parę ciekawostek! Znacząco obyczaj szlacheckiego Władysława Łozińskiego twierdzi, że tak częste

w Polsce „raptury” miały źródło bardziej... w energii samych panien aniżeli w zachwalstwie kawalerów. Najgłośniejsze napady udawały się tylko dzięki determinacji i odwadze porwanych biatogłówek! Tak było z raptem starościarki halickiej Krzysy Strusiówny „uprowadzonej” przez Adama Kalinowskiego. Tak było z ucieczką wojewodzianki Mniszcówny, siostry carowej Maryny, „porwanej” przez Hermolęusa Jordana. Tak było z ucieczką z klasztoru chorążanki wyszogrodzkiej Szczawińskiej. We wszystkich tych „raptach” panny nie tylko nie były „ofiarami” gwałtowności męskiej, lecz odgrywały aktywną i pełną inicjatywy rolę! Miłość, energia, odwaga, ryzyko, chęć zamiana przygody i awantury — oto były motory panińskich poczynań! Ach te niewiasty!



Rys. Marian Wiśniewski

LIST

(Dokończenie
ze str. 1)

Zasadniczą przyczyną napisania tego listu jest koperta wręczona mi przez pana Gressin. Pan Gressin to człowiek ośmiły i pozbawiony zupełnie uczucia rodzinnego. Przypominasz sobie, zapewne, jak, wieczorem, przed ośmioma dniami omawialiśmy nasz budżet domowy. Ustaliśmy wtedy, że 200 tysięcy franków pozwoliłoby nam uregulować czynsz za mieszkanie, elektrownię i dług u ślepikarza. Gdybyśmy mieli tę sumę, mógłbym się zapisać na kursy, pracować samodzielnie, względnie znaleźć lepszą pracę. Nie spałem przez całą noc — zastanawiałem się, kto mi pożyczę taką sumę. Wojna nie pozwoliła mi na rozpoczęcie studiów — edukacja skończyła się na maturze. Za 24.222 franki miesięcznie prowadzę konta u tego durnia Gressin — za niedzną pensyjke musimy utrzymywać się w czworo. Rozpaczliwa jest ta akrobacja; do marzeń należą wakacje nad morzem, zakup sprzętu campingowego jest nieosiągalny, a Twoje ręce zniszczone praniem.

Przypominam sobie blade, wypielęgnowane ręce mojej matki z czasów poprzedzających bankrutwo ojca. Marzę jak dziecko; jakiś anonimowy dobroczyńca przesyła nam przekazem pieniądze, nieznany wujek pozostawia spadek, to znów wygrywam na loterii, nie wykupując losu. Słowem — te wszystkie absurdalne marzenia, którymi karmię Cię codziennie dla dodania odwagi i animuszu. Rano zwróciłeś się do mnie: „Zaciągnij pożyczkę u pana Gressin — przecież on mógłby nam pomóc”. Ile szlachetność, ile zaufania do ludzi w tym „przecież on mógłby nam pomóc”. Niestety — „on nie może”. Nawet nie zwracaliśmy się z prośbą do niego — to jest zbyt absurdalne. Nie chciałem jednak sprawić Ci zawodu i dlatego w czasie przerwy obiadowej skłamałem, że w następnym miesiącu otrzymam pieniądze od pana Gressin.

Nie do zniesienia były już dla mnie te stałe kłopoty. Brak mięsa, wysokie ceny. Cyfry, cyfry... Całe moje życie wypełnione cyframi. A wokół nas wirowały miliony, toczyły się limuzyny. Gdy wchodziliśmy do kina kasynowego, spojżenie kierowałem na salę gry. Obserwowałem wtedy jak podstarzałe damy i bankierzy o podejrzanym wyglądzie traciły w ciągu jednego wieczora sumy, które mogły nam zapewnić dobrobyt na przeciąg roku, uratować naszą egzystencję.

Nie mam konkretnego zawodu, ręce moje są niezgrabne; tłućko nacynia, starając się pomóc Ci przy zmywaniu — śmiejesz się ze mnie. Postanowiłem spróbować szczęścia w kasynie gry. Miałem przecież kopertę z gażą. Wygrać dwieście tysięcy — lub stracić wszystko. Przegrana — to samobójstwo, gardenal. To takie głupie i proste.

„Obmyśliłem plan gry, zapewniający 80 procent powodzenia. Trzykrotnie już, uprzednio, asystowałem przy rulecie jako obserwator. Kibicując, byłem opanowany, pewny siebie. Dziś wieczorem wszedłem do sali gry wypożyczę i silny, z kopertą od pana Gressin. Jak wiesz, ubrałem się starannie. Uwierzyłaś mi, gdy zapowiedziałem, że na dzisiejszy wieczór jestem zaproszony do szefa i wrócę późno do domu. Po wyjściu z biura, jak już wspominałem, udam się na przechadzkę. Jako osiemnastoletni młodzieńiec lubiłem włóczyć się bulwarami nad Sekwaną, po czym wstępowałem do bistro i samotny, spokojny, pisałem strofy wyrażające tęsknotę za śmiercią. W tym czasie nastąpiło ostatnie bankrutwo ojca, a świat, obcy mym marzeniom, przygotowywał wojnę, z której nie zdawałem sobie zupełnie sprawy. W dwa lata później ojciec mój umarł w nędzy i opuszczeniu, a ja w tym czasie byłem w niewoli niemieckiej z Twym bratem. Opowiadał mi o

sprawach, których nie rozumiałem i rozstał się z światem, nie przeżywając swych marzeń. Tak rozmawiałem w restauracji przy ulicy Portails, lecz nie pisałem już poematów. Donoszono wtedy o zakończeniu działań wojennych w Indochinach, omawiano uślawiania reemigracji Niemiec, w teatrze, w ramach festiwalu, wystawiano „Don Juana” Mozarta, a na Lazurywym Brzegu zginęło pięć osób w katastrofie samochodowej. Wyobrażałem sobie wzmiankę w gazecie — „Niejak! pan X, księgowy, popełnił samobójstwo przez zażycie gardenalu po przegraniu całej gaży w rulecie. Samobójca pozostawił bez środków do życia żonę i dwoje dzieci”. Doszedłem do wniosku, że społeczeństwo zapewni Ci lepszą pomoc.

A zatem decyzja zapadła. Wszedłem w restauracji i wolnym krokiem udałem się do kasyna. Była już godzina dziewiąta. Chociaż nie brałem nigdy udziału w grze, doskonale orientowałem się w zasadach rulety. Przy obstawianiu numerów, w przypadku wygranej, otrzymuje się trzydziestoseściokrotną stawkę. Dla ostrożnych pozostaje gra na czerwone, czarne, parzyste i nieparzyste. Ale wtedy, przy trafieniu, otrzymuje się jedynie podwójną wartość stawki. Istnieją ponadto, systemy gry pośrednie — bardziej skomplikowane, których nie będę Ci wyjaśniał. Przed wejściem do

sali gry, wydawało mi się, że będzie lepiej oświetlona, bardziej rozległa, więcej przesycona atmosferą rozgrywania i iskrząca się biżuterią. Podobnie wyobrażałem sobie bal na dworze Ludwika XIV.

Rozpocząłem grę. Obstawilem rulete, zgodnie z uprzednio omówianym planem. Byłem opanowany i spokojny, jak w czasie swych wizyt w kasynie w roli kibica. Wygrywałem, nie odczuwając żadnych emocji. Przed sąsiadami moiimi gromadziły się, to znów toniały stopy sztonów. Oszcłym głosem podawał krupier wyniki gry. W ciągu godziny wygrałem sto tysięcy franków. Po zdobyciu zamierzonej sumy dwustu tysięcy miałem opuścić kasyno i wtedy można już było wyrzucić z kieszeni cztery tubki gardenalu. Z trudem ukryłem uśmiech zaufania i spokoju. W tym samym rytmie uzyskałem sto pięćdziesiąt tysięcy franków. Zastanawiałem się dlaczego współpracownicy nie posiadają mojego systemu. Stojący obok mnie mężczyzna rzucił pośpiesznie sztony na sukno stołu. Twarze większości graczy wyrażały raczej zdziwienie niż namiętność; po prostu gorączka gry zredukowana do normalnej potrzeby życiowej.

Pomyślałem — dramat skłonności. Przede mną gromadziły się pięciotyśne sztony z masy plastycznej. Wydawało mi się, że to za bawki dziecięce. Trudno mi było uwierzyć, że jeden szton równa się mojemu tygodniowemu zarobkowi. Wygrałem dwustu tysięcy sprawiła na mnie wrażenie uzyskania dwustu franków. Za dziesięć minut jedenasta — zapowiedziałem sobie — cel osiągnięty, kończę grę. Pełozylem na stół szton tyśniacfrankowy. Pomyślił pewnie — tyśniacfranków to ubranie dla Piotrusia, to cukier na cały miesiąc lub mięso na trzy dni. Taką sumę ryzykować w ciągu jednej sekundy dla jakiegoś hazardu. Lecz w sali gry nie nie przypomina zapachu chleba.

Grąłem w dalszym ciągu. Zacząłem przegrywać. Pozostało mi dwieście tysięcy franków. Trudno wydość się z gęstej mgły. Rozpoczęłem grę na jeden numer z typowym uporem hazardzisty. Wszystko lub nic. „Pomyślałem przez chwilę o tabletkach gardenalu, lecz nie odczuwałem lęku przed śmiercią. Sąsiedzi moi — wytworna dama w pięknej etoli i hrabia G., właściciel zabytkowego pałacu i znanej stajni wyścigowej, przyszl tu, by za dziesięć lub sto tysięcy zakosztować słabego dreszczyku emocji, a ja — grąłem o życie, o egzystencję. W oczach współpartnerów zdziwienie — ruleta sprawia na nich takie wrażenie jak wypicie kieliszka porto w naszych warunkach.

W pewnej chwili pozostało mi już tylko 2.000 franków, Ostatni szton rzuciłem

na numer 1 i przelany z góry o przegranej, ścisnąłem w palcach tubki gardenalu. Poszczęściło mi się tym razem. Postawiłem bezwiednie trzydzieści sześć tysięcy franków na ten sam numer i znów fortuna okazała się łaskawa. Z rozmysłań wywałem głębiej głos krupiera. Wygrałem około miliona trzydziestu tysięcy. Nie mogłem zdobyć się na przerwanie gry. Rozpocząłem grę na numery, obstawiając dwieście, a z kolei po sto tysięcy franków. Gra stała się szybka. Bez zastanowienia rzucałem sztony na numery bez wyboru i drżącymi rękami zagarniałem wygrane.

O drugiej po północy ogłoszono zamknięcie kasyna. Musiałem opuścić stół gry. Oszłomiony udałem się do kasy celem wymiany sztonów na gotówkę. Otrzymałem czterdzieści milionów franków. Nie zważałem sobie zupełnie na piędziesiąt tysięcy wygranej. Początkowo nie odczuwałem wcale zadowolenia. Zrozumiałem, że grając tak samo przyjmuję wygrane z powodu przegranej, jak i żal z niemożności powiększenia fortuny. Stwierdziłem, że jestem hazardzistą najpodlejszego rodzaju, którego jedynym przagnieniem jest nowa gra.

Nie wyobrażałem sobie już powrotu do księgowości pana Gressin. Jedyną moją pasją stała się gra, chociaż jednocześnie byłem przekonany, że dalszy hazard zakończyby się dla mnie klęską. W tej chwili pomyślałem, że po oddaniu Ci całej sumy będziemy mogli żyć spokojnie. Lecz jakie byłoby to życie? Codziennie wieczorem skłaniałbym o parę tysięcy, by zasiąść znów do rulety. A może zmieniłbym się? Miałem przecież środki, by zapewnić nam wszystkim dobrobyt. Zbyt szybko jednak doszedłem do fortuny. Wygrana dwustu tysięcy uratowałaby nas — czterdzieści milionów zgubiło mnie. Dzieci uzyskują odpowiednio wyszkolenie. Wiem, że Ciebie pieniądze nie zepsują, wiem, że jestem ichórzem. Żyjąc tak dalej nie miałbym prawa do Twego uczucia. Inny Cię zrozumie, otoczy ramieniem silnego i spokojnego człowieka, a może pocięszy Cię i zapomnisz o mnie... Jest już szósta rano. Spisz twarde w sąsiednim pokoju po całonocnym trudzie. Nie mam odwagi uścisnąć Ciebie, nie śmiem dzieciom spojrzeć w oczy. Świat odsądzi mnie od czci, lecz robię to dla Waszego dobra.

Nabrałem szciankę wody. Słyszę jak przekreślasz się na łóżku. Tak długo trwa przekłnięcie czterech tabletek gardenalu. Jestem zmęczony. Jestem...

Przełożył:
JAN JANISZEWSKI

WUJ, KADEN-BANDROWSKI I LITERATURA

Zadebiutowałem w roku 1936 na łamach „Kuriera Literacko-naukowego”, który ukazywał się co niedzielę jako dodatek do krakowskiego „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, zwanego w skrócie „Ikac”. Pamiętam, wielkie to było wydarzenie w moim życiu, ale bardzo zmartwiło moich rodziców, zwłaszcza zaś mojego wujka, inżyniera. Ów wuj, człowiek światły i wykształcony, uważał się poniekąd za mojego duchowego opiekuna. Przeczytał te wiersze na łamach „Ikaca”, zawołał mnie do siebie i odbył ze mną taką mniej więcej rozmowę:

Wuj: — Czytałem te twoje wiersze w gazecie. Nie bardzo wiem, o co w nich chodzi. Ale to nieważne. Wnoszę jednak z tego, że chcesz być poetą.

Ja: — Tak. Zawsze wujowi mówiłem, że literatura pociąga mnie od dawna. O niczym innym nie mogę myśleć.

Wuj: — No dobrze, a pomyślałeś, kochasiu, z czego będziesz żył?

Ja: — Jakto, z czego? Z pisania.

Wuj: — Jesteś, widzę, naiwny jak niemowlę. Pokaż mi takiego, co żyje z literatury, a w szczególności z pisania wierszy. Otóż ja ci dam dobrą radę. Wybierz sobie z głowy poezję, jeśli chcesz być człowiekiem szczęśliwym. Wiersze mogą pisać właściciele majątków czyli ludzie bogaci. Ty jesteś za biedny na to. Ty powinieś wyuczyć się konkretnego zawodu: zostań technikiem, inżynierem, no, niechby nawet tokarzem. Teraz przemysł się rozwija, dobrze płacą, możesz zrobić karierę. A poezję rzuci, to nie dla takich jak ty...

Ja: — Ale mnie technika nie interesuje, a z matematyki z trudem wyciągałem trójki. Człowiek, żeby był szczęśliwy, winien robić to, do czego czuje zamiłowanie.

Wuj: — Baniałuki, mój Jasiu. Jak się nauczysz zawodu, to go i pokochasz. A w ogóle powiem ci, że poeta to nie żaden zawód. To stan zamroczenia. A przeciw nie można żyć wędząc w zamroczeniu, trzeba poza tym coś robić. Nam potrzeba dziś matematy-

ków, inżynierów, lekarzy, a nie poetów. Ty się, Jasiu, zastanów. Pamiętaj, że ci dobrze życzę...

Wyszedłem od wujka z jeszcze większym przeświadczeniem, że literatura to moje powołanie. Wuj nigdy już nie wracał do tego tematu, ale ilekroć zobaczył moje wiersze w gazecie, zawsze kręcił z politowaniem głową i patrzył na mnie z uczuciem głębokiego zawodu i żalu. Kiedy zaś wydałem pierwszy tomik wierszy pt. „Do mojej ziemi” (poświęcony kieleckim stronom, gdzie się urodziłem) ofiarowałem go wujowi z obszerną dedykacją, ten przerzucając kartki powiedział:

— Zawsze mówiłem, że w naszej rodzinie ktoś źle skończy.

Mimo to zaprosił mnie do siebie i nawet zaoferował pomoc finansową, którą skwapliwie przyjąłem, jako że był goły jak święty turecki.

Był jeszcze jeden człowiek, który miał nieco zblędzone poglądy do zapatrywania mojego wujka, chociaż

(Dokończenie na str. 11)

WANDA KARCZEWSKA

ZMYSŁY KSIĘDZA PREFEKTA (TA TWARZ PATRZY ZEWSZĄD)

(IV)

Byłam zdruzgotana. Odczułam to w tak fizyczny sposób, że kolana ugięły się pod mną i opadłam na stopnie. Siedziałam jak skamieniała; istny posąg rozpaczy. Słowa z otwartego okna spadały mi na kark, jak żołądki, ostre kule gradu. Siostra Beata mówiła podniesionym głosem:

— Niewinne dzieci! Ja je znam! Od dwudziestu lat patrzę na nie. Szlarsze grzeszą świadomie, młodsze, zanim się szosprzrzęga, co czynią, już ulegają namowom szatana. One są pokorne i potulne, gdy na nie patrzymy, ale szpuścmy z nich na chwilę oczy, to ściszkają się i czują lubieżnie, dotykają się...

— One są pozbawione macierzyńskich pieśczęt i ciepła rodzinnego — krzyknął nagle pan Zarebski tak ostro, aż podskoczyłam na stopniu, a gorąco zaczęło mi pulsować w skroniach. — Dlatego szukają ciepła nawzajem u siebie. Wy, siostry, nie umiecie im go dać. Było błędem z mojej strony, że zgodziłam się, aby Isia...

Siostra Beata nie dała mi dojść do słowa: — One szukają ciepła macierzyńskiego! Tak! I dlatego wieczorami wchodzą do siebie do łóżek i oddają się nieprzyzwoitym uczynom! Grzechowi nieczystości!

— Kto? Te dzieci? Isia, Julka?!

Głos pana Zarebskiego był tak napięty, że o mało co nie rozprysł się w powietrze: — Siostra ma chorą wyobraźnię! Siostra wszędzie wietrzy grzech! Nawet tam, gdzie go nie ma! To siostra przedwcześnie zwraca małą uwagę na sprawy płci. Miałem tego dowód niedawno!

— Siostra Gertrudo — dał się naraz słyszeć głos Beaty — niech siostra zaświadczy, do czego są zdolne te „niewinne dzieci”! Dlaczego siostra milczy? Księżę prefekcie, proszę skłonić siostrę Gertrudę, aby mówiła...

— Siostra Gertrudo — odezwał się teraz prefekt — proszę dać świadectwo prawdziwe. Czekalam. Co ona powie?!

W nieprzyjemne milczenie wpadły suche, pełne powściągliwości słowa siostry Gertrudy:

— Bardzo mi przykro, księżę prefekcie, ale zawsze byłam tego zdania, że siostra Beata stosuje czasem niewłaściwe metody wychowawcze. Siostra... po prostu nie orientuje się w psychologii młodych dziewcząt i dzieci.

Podniosłam się ze słopni. Nie, ja nie wstałam — mnie wprost poderwało. Wydawało mi się, że powinnam tam wpaść, chwycić siostrę Gertrudę za rękę i dodać jej odwagi, aby mówiła głośniej, śmielej. Drżałam ze zniecierpliwienia, czując w jej głosie jakąś niechęć, jakieś skrepowanie; domyślałam się, że obowiązuje ją solidarność ale przecież ona nie powinna zatajać prawdy. Miłość do prawdy, a nie solidarność względem sióstr powinna teraz przez nią przemawiać.

Nim zdążyłam zrobić jakiś ruch, wypadła z kancelarii wzburzona siostra Beata. Dała wielkiego susa w stronę refektarza, potem dostrzegłszy mnie, zawróciła, przyskoczyła paroma krokami, schwyła mnie za ramię i popchnęła przed sobą:

— Jesteś tutaj? Chodź w tej chwili!

Po sekundzie wepchnięta za próg, stałam przy drzwiach, ogarniając wzrokiem wnętrze kancelarii. Byłam tak wstrząśnięta, że ledwo dostrzegłam w głębi, za fisharmonią, spowiednika sióstr, prałata Malinowskiego, który z niezwykłą starannością, oderwany od otoczenia, przeglądał jakiś grubą folię. Zdziwiły mnie trochę zacisnięte usta pięknej siostry Gertrudy, jaskrawe wypieki na jej szczupłej rąsowej twarzy, nerwowe ruchy i spojrenie ptaka, który miałby ochotę wymknąć się z pokoju. Ale siostra nie była ptakiem, a drogą przez drzwi zagradzałam jej ja i zwalista postać siostry Beaty, która powtarzała:

— Oczywiście, ja się nie znam na psychologii dziewcząt, ja nie jestem tak wykształcona jak siostra Gertruda, ale mój instykt pedagogiczny mnie nie myli. Mów — zwróciła się do mnie ostro — powtórz niewinne dziecko, co robiłyście wczoraj z Zarebską w krzakach! Niech siostra Gertruda słyszy!

— zwróciła się do mnie ostro — powtórz niewinne dziecko, co robiłyście wczoraj z Zarebską w krzakach! Niech siostra Gertruda słyszy!

— Czulam, że robię się czerwona i że łzy wiercą mi się pod powiekami. Powstrzymałam drżenie brody i ust. Wiedziałam, że jeżeli się teraz rozplaczę — wszystko przypadnie. Nie zdołam niczego wytłumaczyć i odejdę stąd z piętnem grzesznic, oddającej się pokątnie nieprzyzwoitym uczynom. Otworzyłam już usta, aby zaprotestować przeciw temu, co chciała mi wmówić siostra Beata, ale głos uwiązł mi w gardle. Nie mogłam znieść jej nienawistnego spojrzenia, załamany był się pod wzrokiem księdza prefekta. Patrzył na mnie, jak na małą wstrętą żabę, której brzydki się dotknąć. Polyski okularów siostry Beaty odbierały mi śmiałość. I rzecz dziwna — najbardziej mieszał mnie wyraz twarzy pana Zarebskiego, pełen litości, ale takiej, jaką się miewa na widok szczoniaka, którego trzeba wyciągnąć za skórę własnymi rękami z kubła nieczystości.

W końcu jednak język rozwiązało mi huknięcie siostry Beaty:

— No mów! Czemu milczysz? Wstyd ci teraz? Ale grzeszyć to miałaś odwagę? Mów!

Pan Zarebski podniósł rękę: — Zaraz! Czy siostra nie widzi, że ona milczy, bo się boi siostry! Może ksiądz prefekt zapyta, jeżeli to w ogóle potrzebne... Albo siostra... Gertruda, zdaje mi się...



SPEKULANCI

Przez blisko pół roku robotnicy z południowo-afrykańskiej kopalni otrzymywali wyższe odszkodowania, albowiem Roentgen wykazywał znaczne zanieszczenie ich płuc pyłem kwarcowym. Obecnie wypłata odszkodowań została zawieszona, ponieważ odkryto, iż liczni robotnicy przyklejali sobie na plecach pył kwarcowy przed dokonaniem zdjęć roentgenowskich.



SPORTOWY DUCH

W domu poprawczym dla upadłych dziewcząt w mieście Trenton (New Jersey, USA), odbywały się niedawno rozgrywki w szczyplornianku. Kiedy piłka wypadła naraz w pobliskie krzaki, rzuciło się po nią siedem wychowanek, by już więcej nie wrócić na boisko. Zbyt późno zaalarmowanej policji nie udało się dziewcząt odnaleźć.

KTO MA PIENIĄDZE?

Jak wykazuje statystyka, Szwajcarzy rozporządzają największą ilością gotówki na głowę ludności. Na jednego obywatela przypadają tu mianowicie zasoby w wysokości 238,11 dolara. Najniższy natomiast stan zasobów pieniężnych w świecie przypada na Koreę (3,11 dolara). W NRF kształtuje się on na poziomie 79,11 dolara.

PRAWDZIWA DEMOKRACJA

W małej osadzie kanadyjskiej Brunswick, mają być wkrótce przeprowadzone wybory do nowej, 5-osobowej, rady miejskiej. Uprawionych do głosowania jest

42 wyborców płci męskiej. O miejsca w radzie ubiegają się... wszyscy mężczyźni, w liczbie 42.

NOMINACJA

Paul Adenauer, lat 35, kapłan, syn Konrada Adenauera, został wikarym w kościele parafialnym w Unkel, w pobliżu Rhöndorf, gdzie mieszka kanclerz.

KAPRYSY

W okresie zamieszek w Libanie, przybył samolotem do Bejrutu syn Winstona Churchilla, Randolph, ażeby przyjrzeć się z bliska wojnie domowej. Ponieważ lądowanie nastąpiło po wieczornej godzinie policyjnej, nikt nie oczekiwał przybycia na lotnisku. Randolph Churchill zadzwonił w tej sprawie do II sekretarza ambasady brytyjskiej, następnie zaś usiłował zatelefonować do ambasadora. Jednakże sekretarz szefa brytyjskiej placówki dyplomatycznej w Bejrucie nie zgodził się obudzić swego przełożonego. Randolph Churchill, nie posiadając się z wściekłości, wrócił natychmiast na lotnisko i udał się w drogę powrotną do Londynu.

LISTY Z POGROŻKAMI

W ciągu roku do Białego Domu nadchodził przeciętnie około 18 tysięcy listów z pogrozkami pod adresem Eisenhowera. Ostatnio, spośród listów ubiegłego roku, FBI poddało badaniu około tysiąca, w związku z czym policja zatrzymała 66 osób.

OŚWIADCZENIE

Znakomity pisarz francuski i laureat Nagrody Nobla, Francois Mauriac (lat 73), oświadczył na łamach pisma „Express”, iż cieszy się, że Niemcy są podzielone na dwie części.

ZAJĘCIE DLA POSŁÓW

Pomiedzy dyrekcją teatru a urzędem skarbowym w Sztokholmie powstał spór o operetkę pt. „Majteczki z

koronka”. Władze podatkowe są zdania, że operetka jest w istocie rzeczą zakonspirowaną rewii i w związku z tym powinien być opłacony specjalny podatek od działalności rozrywkowej. Spór ma zostać rozstrzygnięty przez deputowanych do szwedzkiego parlamentu.

POSTĘP TECHNICZNY

Podczas wystawy wynalazków w Paryżu, tzw. Concours Lepine, pokazano w tym roku parasole z oświetleniem, ogrzewane sedesy oraz szczoteczki do zębów z napędem elektrycznym.

NAJSTARSZY

Z okazji 150 rocznicy urodzin najstarszego obywatela Związku Radzieckiego, Machmuda Eiwasona, który jest pono jednocześnie najstarszym człowiekiem na świecie, prasą radziecką opublikowała kilka o nim danych. Eiwason jest Azerbajdżańczykiem, żyje stale na wysokości 2 tys. m nad poziomem morza, ma 24 dzieci oraz czwartą żonę. Matka Eiwasona zmarła w wieku lat 150.

KŁOPOTY Z ŻONĄ

Pewien senator amerykański rozszedł się niedawno z żoną, która mając inne zapatrywania polityczne poprawiła mu, po kryjomu tekst przemówienia. Występując podczas wiecu, senator dopiero w pewnym momencie uprzytomnił sobie, że popiera argumenty, których nigdy nie uznawał. Zmieszany, w połowie meitingu, musiał wyjść z sali.

OSZCZĘDNOŚĆ

W luksusowym hotelu na Florydzie znajduje się pokój, w którym co noc biała ubrana kobieta obserwuje kilka ekranów telewizyjnych. Jest to pielęgniarka, która kontroluje w ten sposób sen dzieci miliardierów, przebywających w hotelu. W poszczególnych pokojach, gdzie śpią dzieci, znajdują się oczywiście kamery telewizyjne. Wszystko to czyni się pono w tym celu, aby zaoszczędzić na wydatkach, które byłyby związane z utrzymaniem nianie.



aspazja

ILUSTR. J.BIS-GRATKOWSKI

— 58 —



Tak więc ze wszystkich członków załogi pozostało nas w „Glorii” tylko trzech, a w dodatku jeden spał. Poza tym kot Marduk XIX i piękna suka Aza oraz kilkadziesiąt małych jak napsrtek kolibrów z ogrodów profesora Wanke. Widocznie drzwi tam pozostawiono otwarte, bo kolibry fruwały wszędzie, na wszystkich piętach i skrzyły się w powietrzu jak żywe brylanty.

Sprzedałem automat rejestrujący rozmowy radiowe. Okazuje się, że w ciągu tego czasu zgłaszał się tylko raz admirał i prosił, aby zawsze czekać na niego o godzinie 20.

Skontrolowałem „Glorię”. Idzie cudownie — jak zegarek i choć jest wielka, posłuszna jest każdemu ruchowi mojej ręki. Podniosłem ją na wszelki wypadek nieco wyżej i uruchomiłem zapasowe aparaty dozoru. Postawiłem na straży cały zespół robotów — niezwykłych aniołów-stróżów. Wszystkie te maszyny, jakże często produkt myśli tych wielkich uczonych, których zagarnęła Aspazja, same spełniają swe funkcje, wykonują swoje zadania, same siebie regulują, uzupełniają, naprawiają, kontrolują. Automaty trzech kategorii pilnują koordynacji zapobiegania i naprawiania. Czasami wydaje mi się, że myślą samodzielnie, ale to, oczywiście, jest nonsensem.

— Zostaliśmy sami — powiedział Pierre. — Ta samotność jest straszna. To okropny ciężar... a ja... podły egoista... muszę cię jeszcze bardziej osamotnić. Właśnie przyniosłem zielony pistolet — wyjął go zza pachy i położył przed sobą na stoliku. — Muszę cię

— 59 —



łym obarczyć. Jestem tehrzerm, nie jestem bohaterem Pilatim lub nieustraszonym Carroccim... Moje życie nic nie jest warte... Przeszedłem cię błagać — kropnij mi w łeb! Pójdźmy do wjazdu, jak Carrocci. Kropnij... i wyrzuć w osłonę elektryczną. Pomieszam się z elektronami Carrocciego i jeszcze po śmierci będę osłaniał tę cząstkę naszej Ziemi... „Glorię”... ciebie... i mego czarnego synka, Ali Babę. Namyslałem się chwilę i odpowiedziałem mu poważnie:

— Tego nie zrobię, bo nie ma sensu. To nerwy, przyjacielu. Loulou czeka na ciebie, a ten twój czarny synek musi zostać mistrzem świata. Któż lepiej niż ty nadaje się na jego trenera?

— Ja też nie chcę wrócić — ciągnąłem dalej. — I tobie wiele zawdzięczam. Gdyby nie ty, może bym teraz tam gdzieś kłęczął przed Aspazją. Ale wiesz, co ci proponuję? Przenieśmy Ali Babę do klubu i położymy na leżaku, obok ty się położysz, owinę cię w ciepły pled, napijesz się trochę wina i zrobisz ci zastrzyk somnolny. Prześpisz się trochę, a gdy się zbudzisz wraz z Alim, już może będzie po wszystkim. Może już wrócą nasi przyjaciele? Może będziemy już w powrotnej drodze do naszego domu?

Pierre zgodził się. Uspiełem go. Leżał teraz obok siebie na leżakach, spwinieci w pledy jak liskki. Leżał spokojnie na znak. Prawie nie oddychał, a serca ich biły bardzo cicho i wolno.

21 września. Rozmawiałem dziś o godzinie 20 z ad-

— 60 —



mirałem. Wygląda marnie. Jest chudy, oczy ma zapadnięte, wystają mu kości policzkowe. Twarz porzupana. Głowa w bandażach.

— Co się stało? — zawałowałem.

Ale on przyłożył palec do ust i spojrzeniem nakazał mi milczenie. Spieszył się. Oglądał się za siebie z trwogą. Mówił szeptem po szwedzku, a nie w języku unjwersum.

— Zdaje mi się — powiedział — że jest bardzo źle. Aspazja nas oszukała. Bardzo możliwe, że zginęli już wszyscy. Może część gdzieś się pochowała. W każdym razie my trzej jeszcze żyjemy: ja, Townsend i Freyd. Pomaga nam tutaj profesor Latona — uczona grecka z drugiej wyprawy. Pomaga nam również pewna pszczoła. Możliwe, że my trzej zdołamy się uratować. Kto wie? Czekaj na nas pod skałami Krzyża i Gwiazdy, niech tam co dzień w godzinach od 23 do 24 będzie „Aga”. Na wszelki wypadek niech w niej będą trzy stalory i tlen. Zsynchronizuj działanie „Glorii”, „Agi” i osłony. To wszystko musi się dziać błyskawicznie. Oszukać Aspazję jest bardzo trudno. Ta sprawa rozwikła się w ciągu 10 dni. Może ci jeszcze coś dam znać tą drogą. Jeśli nie, to znaczy, że nie mogłem. Po 10 dniach — uciekaj na Ziemię. Powiedz na Ziemi, że przypuszczenia nasze były zupełnie mylne, to wcale nie są pszczoły, to są...

Wtem coś straszno, ciemnego, napadło z tyłu na niego. Chwila szamotańca, walka. Wszystko znikło. (D. c. n.)

zwrócił się do milczącej niespokojnie Gertrudy.

Siostra Gertruda rzuciła oczyma wkos, gdzie ksiądz prałat Mallinowski z uporem przegładał gruby foliał. Był to piękny, nieco już zażywny mężczyzna, o żywych, ciemnych oczach w troszeczkę już nalanej twarzy i o pełnych ustach, zawsze pobłażliwie i nieco leniwie uśmiechających się do otoczenia, a podczas rozmów z siostrą Gertrudą, prowadzonych w obcych językach, nabierających wyrazu czujnej elegancji. Wydało mi się teraz, że siostra Gertruda pod wpływem słów pana Zarębskiego drgnęła, spojrziała znowu szybko na prałata, który nie podnosił głowy, otrząsnęła się i powiedziała coś najpierw po włosku, a potem widząc, że pan Zarębski nie rozumiał, powtórzyła to po francusku. Do dziś pamiętam dwa słowa: „pas pedagogique”. I mimo wyczuwalnej próby w poprzednim odezwanii się pana Zarębskiego — potrząsnęła głową jeszcze raz i odwróciła ode mnie oczy. Byłam pewna, że obserwuje reakcję prałata, ciągle zajętego kartkowaniem interesującej go księgi.

Inicjatywę przejął w swoje ręce ksiądz prefekt. Zbliżył się do mnie, ale tak na pół kroku, jakby moja bliskość mogła zakazić go śmiertelną chorobą:

— Proszę, Kończycówna, co robiła wczoraj z Zarębską tam, gdzie ją schwyła siostra Beata.

Przywołałam cały spokój na jakiś mnie było stać, odczekałam chwilę, aby rozluźnić mi się gardło i wykrztusiłam:

— Wy... wyrabialiśmy sobie zmysły...

Beata aż rzuciła z radości. W triumfalnym uśmiechu obnażyła wielkie żółte zęby. Wyglądała teraz jak wielka klacz, złośliwie rżąca. Lypnęła poyskiem okularów w stronę siostry Gertrudy i prałata, który przestał naraz przyglądać się kartkom księgi i patrzył teraz na mnie z lekka zdziwiony i speszony. Beata rozlączała pawie ogony swojego tryumfu:

— Aaa! Zmysły! Proszę! Niewinne dziecko! Widzi siostrza! Szama się przyznaje! Mój instyunkt mnie nie zawodzi!

Ksiądz prefekt uznał swoją funkcję za skończoną. Odsunął się ode mnie, ale w radość siostry Beaty wpadł nagle pan Zarębski:

— Julka! Co za zmysły! Mówię ty... smar-kaczu!

Chwyciłam się tego pytania jak deski ratunku. Przed chwilą zdawałam się tonąć, ale teraz zaczęłam bąkać, potem mówić co-

raz śmiejąc; dotykałam palcami podanej mi deski ratunku, potem chwyciłam ją mocniej, aż poczułam, że woda przestaje mi zalewać usta; coraz spokojniejszy oddech dodawał mi pewności siebie.

— No... zmysły... Zmysł wzroku, zmysł słuchu, powonienia — recytowałam coraz pewniej, przypominając sobie wyliczenie matki Isi. — Pani Zarębska mówiła wtedy, na Boże Narodzenie, że zmysły można wyrabiać... ćwiczyć... więc my zamykaliśmy oczy, wachałyśmy różne roślinki i... i zgadywałyśmy ich nazwy. Albo... dotykałyśmy różnych przedmiotów i też...

Zacząły się teraz dziać dziwne rzeczy. Twarze wszystkich, jakby je owiał inny wiatr, zaczęły się gwałtownie zmieniać. Pan Zarębski widocznie uciekł się nagle, ale tak jakoś, że aż się spocił. Zaraz jednak coś sobie przypomniał, bo spochemurniał i zezem spojrzął na Beatę i księdza prefekta; jego oczy, mimo przypływu złości, miały wyraz ciętego zadowolenia. Siostrze Gertrudzie rozluźniły się zacienione w niecheci usta i drobne drżenia śmiechu zaczęły przebiegać po mięśniach policzków, zwłaszcza, gdy ksiądz prałat w głębi pokoju odwrócił się do wszystkich tyłem, widocznie aby przyjrzeć się na ścianie obrazowi świętej Teresy, a jego szerokie ramiona, odziane w piękną czerń sutanny, zaczęły podrygiwać, jak by starał się z trudem opanować kaszel. Z kolei — wzrok mój padł na siostrę Beatę, której widocznie zrobiło się niedobrze, bo pobladła i podniosła rękę do ust, jakby za chwilę miała wymłotować. Trzymając rękę przy gardle, spoglądała na księdza prefekta, który cofał się wyraźnie zaskoczony. Po chwili jednak ten wyraz zaskoczenia na jego twarzy starzejącego się, ale jeszcze bez zmarszczek różowego proszaczka, przelotczył się w wyraz niedowierzania. Siostra Beata rykoszetem odebrała to niedowierzanie, ale u niej przybrało ono cechy dokuczliwej podejrzliwości i błyskawicznie zmieniło się w pewność, że ja jestem nie tylko małym świntuszkiem, ale w dodatku kłamliwym nasieniem diabelskim, chytrze instruowanym przez szatanika, siedzącego mi za uchem.

— Acha! — zawałowała nagle — to dlatego kryłyście się w krzakach! I leżałyście nieśkromnie na sobie! Zeby roślinki wachały Ewa w raju, kiedy popełniła grzech pierworodny, też kryła się przed okiem Pana.

Pan Zarębski miał już teraz wyraźnie wszystkiego dosyć. Siostra Gertruda także. Na policzki jej wypełzły czerwone placki,

a wielkie niebieskie oczy zmroził taki chłód, że w pokoju zrobiło się zimno. Spojrzała w bok, na prałata, widać bardzo wymownie, bo ten odezwał się nagle:

— Siostrze Beato!

I znowu padło jakieś zdanie po włosku, po którym siostra Beata zamilkła, jakby ją coś poraziło, a siostra Gertruda odezwała się:

— Możesz wyjść, Kończycówna. Idź do sypialni i zaczekaj tam.

Teraz jednak zaprotestował pan Zarębski, mimo wyraźnych sprzeciwów Gertrudy: — Zaraz, zaraz. Chwilczkę. Niech ona jeszcze powie, dlaczego skryły się w poręczki. I jak to było z tymi... krzakami? Jestem pewien, że to jakieś dziecinne...

Kiwnęłam głową i zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować, powiedziałam szybko, żeby zdążyć wyjaśnić wszystko:

— Schowałyśmy się, bo... no bo jak kiedyś pytałyśmy siostrę Beatę, czemu nie dostajemy mięsa, to powiedziała, że od mięsa zmysły się rozwijają, a zmysły to grzech, no więc...

— No, no! — pomagał mi pan Zarębski.

— No, a mamusia, to jest pani Zarębska mówiła, że zmysły to nie grzech. No i... no i... to nie może być grzech, bo ksiądz prefekt je często mięso... Czy zmysły księdza prefekta...?

Prałat znowu odszedł do okna, siostra Gertruda zaś uśmiechając się, ale już ze zniecierpliwieniem, powtórzyła nerwowo:

— Idź już, Kończycówna. Rozumiemy już wszystko.

Ojciec Isi dokończył. Niespodzianie i stanowczo:

— Poszukaj Isi. Powiedz niech się natychmiast pakuje i schodzi na dół. Zabieram ją do domu. Jeśli twoja matka nie zrobi tego samego...

Wysłałam oszołomiona. A więc tak się to wszystko miało skończyć. Isia wyjeżdża. Moja matka na pewno mnie nie odbierze.

Isię znalazłam w sypialni. Gdy wpadłam do pokoju, drgnęła i uciekła oczyma w bok. Kiedy jej powiedziałam o przyjeździe ojca przygryzła wargi, a dowiedziawszy się całej reszty, zaczęła się pakować tak szybko, jak by jej się ziemia paliła pod stopami. Prawie nie odzywała się do mnie. Po chwili przyszła siostra Ludmiła, przyrodniczka i wychowawczyni wstępniaczek, pomogła Isi dociśnąć rzemienie na walizkach i znieść rzeczy na dół.

Patrzyłam rozżalona. Przecież łączyła nas

pamięć kilku lat spędzonych w jednej sypialni i na jednej ławce szkolnej, a ona...? Nie rozumiałam jej milczenia. Wychodziła już z pokoju w niedopiętym płaszczu i źle włożonym berecik, unikając mojego wzroku. Zrobiło mi się znowu tak, jak bym była parującym szczeniakiem, którego wszyscy boją się dotknąć. Nie mogłam powstrzymać żalności:

— Isiu? Co ty? Nie pożegnasz się ze mną?

Podszłam, chciałam ją objąć, ale zastawiła się lokciem, zmierzyla spojrzeniem odległość od idącej przodem siostry Ludmiły i nagle rzuciwszy we mnie różami trzymanymi w ręku, które dopiero teraz zauważyłam, szepnęła:

— Świntuwo!

I odbiegła na dół, uginając się pod zbyt ciężkim, jak na jej siły, neseserem podróznym. Nic nie rozumiałam. Wzrok mój padł na kwiaty, zgniecione trochę, leżące na podłodze. Takie różę rosły na kłombie w ogrodzie koło warzywnika, gdzie pracował ostatnio wypożyczony ogrodniczek. Dekorowano nimi teraz w czerwcu oltarz Serca Jezusowego w bocznym oltarzu nawy.

Siedziałam długo w sypialni. Czekałam, tak jak poleciła mi siostra Gertruda. Byłam pewna, że przyjdzie na górę, ona lub ktokolwiek inny, że... może weźmie mnie z sobą, powie wszystkim, że nic nie zawińam, a może nie powie, ale będzie się ze mną przechadzała, przyjaźnie żartując tak, aby wszystkie dziewczynki i siostry wiedziały, że jest już dobrze. Przecież ja nie mogłam być winna, skoro pan Zarębski krzyczał na siostrę Beatę i ksiądz prałat krzyczał na siostrę Beatę i nawet tak spojrzął na naszego księdza prefekta, jak by on razem z Beatą zrobili coś złego. Czektałam, czekałam. Nikt nie przyszedł. Bałam się wyjść z sypialni, choć słyszałam, że pensjonarki wróciły z kolacji. Starsze poszły znowu ogrodem odrabiać lekcje do szkoły, młodsze rozchodziły się po sypialniach. Do mnie nikt nie zapukał. Uchyliłam drzwi: wyjść, nie wyjść. Nadstuchiwałam kroków, bo ktoś szedł schodami. Nie, to nie siostra Gertruda. Siostra Gertruda grała właśnie — aż tu dobiegły dźwięki fisharmonii — w pokoju księdza prefekta Ave Maria, które chóralnie śpiewał zawsze na mszy.

Teraz już wiedziałam, że nie mam w ogóle

odpisy str. 9



Najostrzejsze ołówki świata

W żadnym kraju europejskim, wyłączwszy chyba tylko Francję, nie wydaje się takiej ilości pisemek pół — i całkiem porfograficznych — co w Szwecji. Te ilustrowane magazyny dla starszych panów — jak twierdził ktoś w tajemniczo — są rzekomo po cichu subsydiowane... Podobnie i humorysty szwedzcy z przedziwną konsekwencją sięgają do tematów erotycznych. Trudno powiedzieć, skąd się bierze to upodobanie, lecz ilekroć trafi mi do rąk jakiś szwedzki tygodnik, zawsze wśród dowcipów rysunkowych znajduję ponad połowę żartów, gdzie bohaterkami są bardziej lub mniej rozebrane panie.

Jan Peterson nie jest prokiem we własnym kraju: rysunki jego znane są i popularne głównie poza granicami Szwecji. Niesposób się oprzeć przekonaniu, że dla frywolnych redaktorów w swej ojczyźnie humor jego jest zbyt purytański...

Drukuje go chętnie londyński „Punch” i „Lilliput”, co tydzień można znaleźć rysunek Petersona w „Ici Paris”, nawet bardzo wybredny i ekskluzywny „New Yorker” zamieszcza jego żarty.

Rysownik szwedzki należy do starszego pokolenia humorystów. Debiutował przeszło 30 lat temu i szybko zdobył znaczną popularność. Był jednym z pierwszych, którzy wprowadzili gatunek historyjki obrazkowej. Narysował dotąd ok. 15.000 żartów rysunkowych.

Dowcip Petersona ma wielu zwolenników — może dlatego, że Szwed operuje raczej tradycyjną formą żartu. Jest to humor — tak to można określić — „lekkostrawny”, komunikatywny, który nie szuka zaskakujących, absurdalnych skojarzeń, oszczędnie posługuje się nonsensem. Peterson niezmiernie rzadko rysuje dowcipy bez podpisu. Ale jednocześnie wystrzega się takiej sytuacji, gdy rysunek jest tylko ilustracją tekstu, gdy tenże tekst mógłby się bez rysunku doskonale obejść.

Ma Peterson także swoje ulubione tematy, do których często powraca (pracownia malarza, fotografa). Można nawet na uparteo, przejrzawszy większą ilość rysunków, wyluskać w tych tematach jakiś wspólny problem: kpinę z mieszczaństwa, jego upodobań i snobizmów.

Kpina to delikatna i ukryta, szwedzki rysownik nie jest przecież satyrykiem.

J. W.



— Przepraszam, a kiedy pokaże nam pan tego ptaszka?



— Czy nie wie pan, że karmienie zwierząt jest wzbronione?



— Gdybym wiedział, że pan jest specjalistą w dziale fotografii dziecięcej, udałbym się był do innego fotografa.

JAN PETERSON

albo

żarty tradycyjne



— Co do tego obrazu zasięgnąłem zdania pana doktora.



STRESZCZENIE POPRZEDNICH ODCINKÓW:

W lesie grasuje zgraja zbrojczy. Na jej czele stoi Czarny Matwiej. Szajka obrabowawszy parę rybaków, szykuje się do napadnięcia na barona Caruso-Hydrargir. Dokonuje tej napaści w chwili, gdy rozanielony baron czyni wstępne przygotowania do uwiedzenia arcyksiężnej Zuber.

Czarny Matwiej wpatrując się w twarz barona, jak sroka w kosć, śpiewa ochrypłym głosem monolog, w którym wypowiada wszystkie zbrodnie uwodziciela:

CZARNY MATWIEJ (odsłaniając maskę do połowy nosa):

Było to w czasach górnych, bezchmurnych,
gdy sława wiadrami się lala,
dziś mego głosu nikt nie zakupi
nawet za szklanekę kakao.

HYDRARGIR:

Ń jakim głose mówisz, Matwieju?
O zardzewiałym swym basie?
Toż to nie głos jest! to szmer, to rumor!
Hydrargir na głosach zna się.



CZARNY MATWIEJ (zdzierając z twarzy maskę):

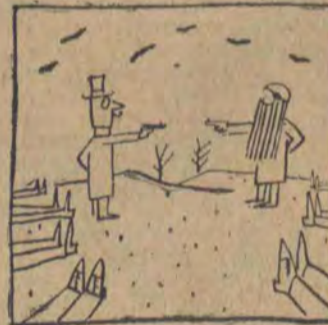
Jam nie jest Matwiej, ale Tremolo!
Ten, co po piwa szklance
ciężko migdałki swe przeziębwszy,
podpadł pod nędzny twój lancet.
Tu w gardle noszę twój upominek
na wieczną hańbę chirurgom,
ty recenzencie, uwodzicielu,
mętna kanalio i murgu!
Tyś mi do gardła zaszył napaśtek,
tak, że gdy arie
głos mi się łamie, pieje i burczy
jak bym krtań nosił w rurce...

HYDRARGIR:

Panie Tremolo, klnę się na honor,
kiedyś po mojej śmieci
wyjdzie niewinność moja do góry
i wina panny Waleci.
Walecia bowiem, tak, twa Walecia,
ta twoja kochana pani,
napaśtek kazala wszyć ci do gaidła,
byś więcej nie śpiewał dla niej.

CZARNY MATWIEJ:

Kłamiesz, ty stara wstrętna purchawko!
Zaraz ci czaszkę rozkwaszę!...
Rozkwaszę, bihme! Pałką rozkwaszę!
Rozkwaszę na drobną kaszę!!!



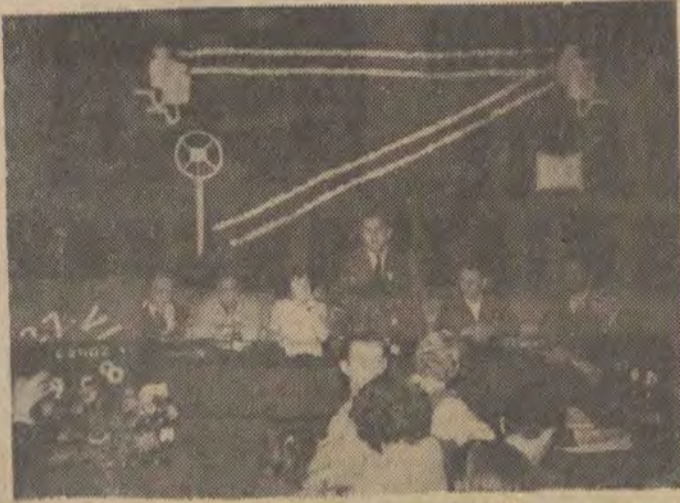
SŁOWO WIĄZĄCE:

Zbliżamy się klusem do finale vivace. Czarny Matwiej-Tremolo po wysłuchaniu śpiewanego przemówienia zbrojczy — ty, nie rozkwasza jednak czaszki barona, lecz godzi się załatwić swe krzywdy przy pomocy Kodeksu Bożewicza, czyli pojedynkować się ze swym wrogiem numer 1, Hydrargirem. Ponieważ i Tremolo i Hydrargir są krótkowidzami, w czasie wymiany kul padają trupem zrazu sekundanci, potem zbrojczy szeregowi, gajowy, arcyksiężna Zuber, w końcu obaj krótkowidze. Nieboszczycy, leżąc na scenie, śpiewają mnóstwo chóralnych pieśni. Operę kończy sufler z pistoletem przyłożonym do skroni.

SUFLER:

Gdzie osiem trupów w takiej operze
wyciera finału kąty,
tam konieczność jest dramatyczną,
by jeszcze był i dziewiąty.
(Pali sobie w łeb).

Do druku podał
ZYGMUNT FIJAS



Narada Komitetów redakcyjnych radiowęzłów pow. sieradzkiego 27. VI. 58 r. Przewodniczący: przewodniczący komitetu redakcyjnego w Sieradzu Janusz Łukasiewicz, pierwszy z lewej Jan Matusiak, („niespokojny duch radiowęzła“). — pierwszy z prawej Bronisław Nawrocki, członek kolegium.

MARIAN ŻYCHLIŃSKI

„Tu mówi Sieradz...”

Mogę chyba bez obawy stwierdzić, że radiowęzeł sieradzki w I kwartale 1958 r. spełniał rolę lokalnej rozgłośni Polskiego Radia.

Radiowęzeł nadal w tym okresie, tj. w ciągu 77 dni 710 różnych pozycji większych i mniejszych. Jest to pokazana ilość, jeśli wziąć pod uwagę, że wszystkie te informacje, wiadomości, pogadanki, wywiady, reportaże, itd., itp. składają się aż na 678 stron maszynopisu!

Radiofonii przewodowa nadaje program I z Warszawy lub II, jeżeli radiowęzeł posiada kablowe połączenie z Łodzią. Niezależnie od transmitowanego programu ogólnopolskiego przewiduje się nadawanie dwóch lokalnych audycji, w godzinach przedpopołudniowych. Można więc w ciągu prawie pół godziny dziennie informować miejscowe społeczeństwo o interesujących ich sprawach z danego terenu, można więc mówić o blaskach i cieniach miasta i powiatu. Istnieje więc możliwość, aby wszędzie tam, gdzie istnieje terenowy radiowęzeł, stworzyć lokalną rozgłośnię Polskiego Radia. Teoretycznie rzecz biorąc, możliwości są. Ale to dopiero możliwości. Aby te istniejące możliwości przekształcić w rzeczywistość, musi przy radiowęzle istnieć komitet redakcyjny, który będzie systematycznie przygotowywał lokalne audycje. I tu właśnie zaczyna się, że tak powiem, tragedia. Albowiem dla komitetu redakcyjnego nie ma etatów (istnieje tylko etatowa obsługa techniczna radiowęzła), a więc cała praca redakcyjna musi być wykonywana społecznie, czyli nie za pieniądze i na tym właśnie polega podstawowa trudność.

I w tym nasświetlaniu trzeba spojrzeć na owe 678 stron maszynopisu.

W zasadzie — wygodniej jest pisać o czarnych stronach zagadnienia niż o jasnych. Ale skoro zaczęliśmy już mówić o ludziach, to „niespokojny duch” całego kolegium, tym, który myśli i robi za kilku jest sekretarz PMRN w Sieradzu tow. Jan Matusiak, pełniący funkcję z-cy przewodniczącego komitetu redakcyjnego. Oczywiście wyróżnić należy tu cały dziesięcioosobowy komitet redakcyjny z przewodniczącym tow. Januszem Łukasiewiczem, sekret. Prezydium PRN w Sieradzu na czele; choć wszyscy wydają się pracują, to jednak gwoździ sprawiedliwość nie może odmówić sobie przyjemności wskazania na szczególnie wyróżniających się, jak np. p. Irena Lewicka. Jest ona prawą ręką „niespokojnego ducha” tow. Matusiaka. A że człowiek musi mieć dwie ręce to i Matusiak je ma. Otóż druga ręką jest Bronisław Nawrocki, kierownik Pow. Domu Kultury, członek komitetu redakcyjnego. Złośliwi nazywają ich „wielką trójcą”. Może nie zupełnie słuszne określenie, ale dużo w tym prawdy, albowiem główny ciężar pracy spada właśnie na tę trójcę.

* * *

Już sam fakt kolektywnej pracy komitetu redakcyjnego w Sieradzu wyróżnia go spośród innych, ale to nie wystarczyłoby na uzyskanie osiągniętych wyników. Do tego niezbędna była współpraca szerokiego kręgu korespondentów. Tak też było w Sieradzu. Autorami audycji nadanych w I kwartale br. było 118 osób (słownie sto osiemnaście). W porów-

aniu do innych komitetów redakcyjnych jest to astronomiczna wręcz cyfra autorów. Świadczy to przede wszystkim o silnym powiązaniu radiowęzła z terenem. Jest to fakt godny szczególnego podkreślenia, albowiem i w tym wypadku praca nie przynosi finansowych korzyści. Ten fakt budził wątpliwość niektórych komitetów redakcyjnych. Oczywiście bodźcem materialnym jest bardzo istotnym czynnikiem ułatwiającym pozyskanie współpracownika, ale bynajmniej nie najważniejszym czy zasadniczym. W praktyce codziennej, co w pełni potwierdził przykład Sieradza, decydującym czynnikiem dla pozyskania współpracowników to właściwy, serdeczny, a nawet przyjacielski stosunek do ludzi oraz stosowanie różnych form przywiązania i zachęcania do wspólnej pracy.

Chciałbym tu podać charakterystyczny przykład. Otóż wszyscy wiedzą, że używać od odpowiedzialnego działacza partyjnego artykułu do gazety lub radia to naprawdę nie lada problem, a to głównie z powodu chronicznego „braku czasu”. A w Sieradzu w I kwartale wszystkie trzy sekretarze KP PZPR byli autorami łącznie osmiu audycji, a pracownicy Ośrodka Propagandy Partyjnej 20 audycji. W ogóle współpraca z KP PZPR (nie można tego dotychczas powiedzieć o PK ZSL) jest poważnym przychylnikiem do uzyskania osiągnięć. No cóż, wypada mi tu w tym miejscu wyrazić żal w imieniu większości komitetów redakcyjnych województwa łódzkiego, że nie wszędzie tak pomyślnie układają się pomoc i zainteresowanie ich pracą ze strony partii.

Podobnie z kolei właściwy, życiowy stosunek przejawia komitet redakcyjny wobec współpracujących z radiowęzłem poza kolegium. Nawet niespodzianka w postaci życzeń imienninowych łącznie z ładną płytą nadaną dla korespondenta od kolegium redakcyjnego, jako podzięką za współpracę, to też element przyciągający. Zresztą istnieje na to wiele możliwości, nie sposób tu o wszystkich pisać.

Pragnę jeszcze jednak wskazać i na inne formy pozyskiwania korespondentów przez wezeł sieradzki. Oto one. Kolegium mając opracowany tematyczny plan audycji zwraca się do konkretnych ludzi, a nie do instytucji z prośbą o opracowanie danego tematu. Forma ta prawie całkowicie zdaje egzamin. Ogólnikowe prośby o nadsyłanie materiałów są prawie niestosowane, a uzyskanie w ten sposób informacji, stanowią niewielki pro-

cent całości materiału. Komitet redakcyjny stosuje zasadę, że każdy korespondent jest informowany o losie przesłanej przez niego informacji lub audycji. Albo przesyła mu wraz z podziękowaniem odpis audycji opracowanej na podstawie nadesłanego materiału, albo też wyjaśniają z jakich przyczyn nie wykorzystano. Żadnej korespondencji nie pozostawia się bez odpowiedzi. Na zakończenie każdej audycji lokalnej podaje się nazwiska jej autorów lub czyje materiały zostały wykorzystane do opracowania. Ponadto komitet redakcyjny wydaje od 1. I. 1958 r. Biuletyn Informacyjny (otrzymują wszyscy członkowie kolegium oraz korespondenci i współpracownicy, a także zainteresowane instytucje), w którym kolegium informuje o wynikach pracy za ubiegły miesiąc oraz omawia zamierzenia na następny. Te nie stosowane gdzie indziej lub sporadycznie ciekawe formy pracy i stosunków kolegium z korespondentami pozwalają na stałe powiększanie kręgu współpracujących.

* * *

Właśnie te formy pracy pozwoliły komitetowi redakcyjnemu uzyskać w pierwszym kwartale materiał od ludzi pracujących w przeszło pięćdziesięciu zakładach i instytucjach, z miasta i powiatu sieradzkiego. Szeroki krąg korespondentów pozwala uwzględnić w lokalnym programie bogaty wachlarz spraw terenowych.

Nie bez racji komitet redakcyjny jest dumny z osiągnięć współpracy z korespondentami. Zgodnie z ich prośbą pragnę podać, że na specjalne wyróżnienie jako aktywnej korespondencji zasługują szczególnie ob. ob. Neymanowa, Kołacińska, Barden, Muszyńska, Stawska (z PGR Dęboka), Foliński, Gałka, Jajta, którzy już od kilku lat współpracują z radiowęzłem.

Byłoby niesprawiedliwością mówić o pozytywnych stronach sieradzkiego komitetu redakcyjnego, a nie wspomnieć także o pozostałych współtwórcach sukcesu w I kwartale. Chodzi więc o te osoby, które swoim przyjemnym głosem przekazują do głośników twory piszących. Chodzi o lektorki, tzw. spikerki. Czy tylko o nie? Bynajmniej. Chodzi także o bezimiennych współtwórców audycji, jak maszynistka p. Maria Engler i cały personel techniczny radiowęzła.

* * *

W czasie spotkania komitetów redakcyjnych w Sieradzu, ob. Matusiak omawiając doświadczenia tamtejszego kolektywu, w pewnej chwili uruchomił magnetofon i odtworzył poranną audycję lokalną. Przedstawiciele innych komitetów redakcyjnych słuchali jej z wyrażoną zazdrością, a my z wielką przyjemnością; zupełnie śmiało mogła konkurować z audycją tego typu opracowaną przez radiowców — zawodowców.

Jeszcze jedna uwaga. Bardzo przyjemne było także pokazanie dorobku tamtejszego komitetu redakcyjnego, który kolegium przedstawiło w formie zorganizowanej na dzień spotkania wystawy.

* * *

PS. Rozmawiałem przed kilkoma dniami z tow. Matusiakiem. Stwierdził on, że choć w II kwartale mają nieco słabsze wyniki i chyba pierwszeństwo wypadnie oddać innemu radiowęzłowi, to jednak uczynią wszystko, aby znów zatrumfować w III kwartale.

M. Z.

WOJ, KADEN-BANDROWSKI I LITERATURA

(Dokończenie ze str. 8)

sam był tegim pisarzem i w redagowanej przez siebie gazecie drukował moje wiersze (za co jestem mu dożgonnie wdzięczny). To Juliusz Kaden-Bandrowski. — Owszem, pisać można, zwłaszcza, jeśli pana prze do tego — powiedział kiedyś do mnie — ale proszę nie obarczać mnie odpowiedzialnością za materialne wyniki tego zawodu. Jeśli to w ogóle jest zawód. Za pisanie wierszy nikt jeszcze nie kupił sobie kamienicy, ani nawet roweru.

Poza „Ikaćem”, drukowałem wiersze w „Sygnale” lwowskich, wydawanych przez niedawnego ministra kultury i sztuki Karola Kuryluka, w „Okolice poetów”, którą redagował Stanisław Czernik, w miesięczniku „Skawa”, redagowanym przez poetkę z grupy „Czwartaka” — Janinę Brzostowską i w piśmie radomskim „Zagwie”, do którego wstąpiłem w inicjatywy poety i późniejszego partyzanta Stanisława Skonecznego. Współpraca z „Zagwiami” zapowiadała się interesująco, niestety, wybuch wojny w 1939 r. przerwał wszelkie nadzieje z piśmiem tym związane. Muszę wszelako wyznać, iż zamieszczony w „Zagwiah” wiersz „Do Michała Szolochowa” napawał mnie dumą i o ile mogę sądzić, jest to jeden z moich lepszych utworów napisanych w tamtych latach. Czas przed wybuchem

drugiej wojny światowej charakteryzował się tym (między innymi oczywiście), że wszelkiego typu czasopisma literackie mnożyły się jak grzyby po deszczu i zwykłe po kilku numerach kończyły swój żywot. Na ogół rozpoczęły żywot. Ale było ich wiele i nikt chyba nie mógł uskarżać się na to, że nie ma gdzie drukować. W Warszawie Czechowicz wydawał „Pióro”, Napierski „Ateneum”, Stanisław Ryszard Dobrowolski „Nową Kwadrę”, a w Łodzi, Krakowie, Poznaniu, Lwowie i Wilnie pojawiały się co jakiś czas nowe periodyki.

Te lata moich pierwocin literackich przyniosły mi niejedno cenne doświadczenie, zwłaszcza zaś przekonały mnie o tym, że nie trzeba naśladować ufać słowu pisanemu i nie należy lokować w ludziach zbyt wielu marzeń. Przesadny kult książki, wiara w to, że książka stanowi panaceum na wszystko, uganianie się za każdą nowością i nieustanne speranie w antykwariatach na Świętokrzyskiej w poszukiwaniu rzeczy dawnych — nie pozwoliły mi skoncentrować się na jednym przedmiocie, nie mówiąc już o tym, że oddalały od życia i osłabiały zmysł obserwacji. Zresztą tego kultu nie pozbyłem się właściwie do dziś i gorączkowe uganianie się za książkami daje mi się i obecnie mocno we znaki. (A ile kosztuje, lepiej nie mówić).

Przeżona chęć osobistego poznania pisarzy wówczas już znanych pochodziła stąd, że wiązała z tymi ludźmi zbyt wiele nadziei, że sobie po nich zbyt wiele obiecywałem. Dopiero znacznie później zrozumiałem, że moje wyobrażenia były dziecinne, by nie rzec — śmieszne. Zawsze wynikały potem rozczarowania. Poznani ludzie nie tylko nie zaspokoiły moich wyobrażeń i oczekiwań, ale nieraz wydalili mi się wręcz nieciekawymi.

Przed poznaniem głośnego poety czy prozaika, wiązałem z nim, Bóg wie jakie odkrycia przypisywałem mu. Bóg wie jakie cnoty, widziałem w wyobrażeniach jako człowieka niezwyklego serca i niezwykłego umysłu. Rzeczywistość niejednokrotnie temu zaprzeczyła. Nie pojmowałem, że talent literacki jest to coś, co objawia się przede wszystkim (a często wyłącznie) w samym utworze (w wierszu, opowiadaniu, powieści), że autor jako człowiek bywa nieciekawym, nudnym, że nie odpowiada wyidealizowanemu przez nas modelowi. Może właśnie dlatego, że wszystko, co ma najlepsze, wkłada w swoje dzieło — sam wydaje się zwykłym, banalnym człowiekiem. Niezwykle u pisarza są te chwile, kiedy pisze, stany wzmożonej aktywności psychicznej i twórczego podniecenia, poza tym posiada on wszelkie cechy i przywary ludzkie i uważam to za całkiem naturalne. Ba! całe szczęście, że jest właśnie taki. Gdyby był inny, trudno byłoby znieść jego obecność w każdym jako tako normalnym społeczeństwie.

JAN KOPROWSKI

ZMYSŁY KSIĘDZA PREFEKTA

(TA TWARZ PATRZY ZEWSZĄD)

(Dokończenie ze str. 9)

na co czekać. Przeczucie mówiło mi, że ani dziś ani jutro. Oni, siostry i księża, ci wtajemniczeni, mogli się poprzemawiać z sobą, ale w końcu — widziałem głupia — mówiłam sama do siebie — zostawali razem i grali sobie Ave Maria. Pewnie się już pogodzili, wybaczyli sobie i dobrze się śmieją z kogoś obcego spoza nich, z intruza, który na chwilę wtargnął w orbitę ich uwagi i niepotrzebnie zmącił błogosławiony spokój i ich wielkie i ważne sprawy.

Wzbięła we mnie jakaś uraza i twardość. Pozbięrałam z podłogi różę, otworzyłam śmiało drzwi i wolno zesłam z schodów; odważnie przemierzając refektarz i wszedłam od strony zakrytych do kościoła, aby położyć kwiaty na miejsce im należne. W kościele było ciemnowo. Uklękłam automatycznie przed wielkim ołtarzem. Może nawet chciałam się modlić — nie mogłam. Bóg Ojciec, Syn i Duch Święty, utajony w sakramencie ołtarza, czekał na moją pokorę i modlitwę; zewsząd w półmroku patrzyły na mnie oczy posągów i portretów świętych, takich mniej ważnych bogów, jak to sobie nawzajem, jako małe dzieci tłumaczyłyśmy; w głębi kościoła, za mną, rosły chorągwie i sztandary, noszone na majowych procesjach — a ja nie znajdowałam w sobie ani słowa modlitwy. Wszystkie figury i obrazy świętych do których zbliżałam się zawsze z trwożnym nabożeństwem i naiwną ufnością, przyginały mnie teraz swoją martwą powagą. Wydał mi się oni teraz podejrzliwymi bogami i oschłymi świętymi siostry Beaty, księża prefekta i nawet siostry Gertrudy, która mimo różnicy zdań co do metod wychowawczych, była przeciw ich człowiekiem, i chcąc nie chcąc musiała się z nimi solidaryzować. Wielkie figury bogów i świętych były w tamtej chwili dla mnie, mimo uśmiechów na kamiennych ustach i dobroci oczu malowanej sępią, surowi i obcy. Obcy nam, ludziom, rzucanym przed nich na kolana, obcy żywym, prawdziwym istotom, zdolnym przeciw do myślenia bez trowgi i bez wyczekiwania na uśmiech ich aprobaty.

Wstałam z klęczek, bo ta postawa — czułam — była czymś nieszczerym. Przeszłam do

bocznego ołtarza, wsadziłam różę we flakon. Po to po prostu — aby nie zwiędła.

Wracając przed wielki ołtarz, aby wyjść z kościoła tym samym bocznym wyjściem od zakrętych, które prowadziło do klasztoru, gdy nagle z głębi nawy dobiegły mnie jakieś głosy. Zdążyłam, ekrora na karku ścierplą mi. Nie, duchów się nie bałam, raczej złośliwych i bandytów, zakradających się po niezaporaach do kościoła i rabujących vota. Nie wróciłam się, nikogo nie było. Główne wejście zamknięte. Siostry o tej porze modliły się za wielkim ołtarzem. A jednak nie, ktoś był w kościele. Przez warstwę zapachu kadzidła, pozostałego po czerwcowym nabożeństwie, przez ciemność zgaszczoną zapachem kwiatów, nadpywały słowa, wypowiedziane basowym głosem, podobnym do głosu spowiednika siostr, prałata Kalinowskiego:

— ... i „ścicia zdrowaś i krzyżem leżeć! Krzyżem leżeć!

Po chwili rozległo się pukanie w konfesjonał i jednocześnie z tym:

— Ego te absolvo...

Nie zdążyłam wyjść do refektarza, gdy rozległy się za mną kroki a po chwili niedaleko mnie uklękła siostra Beata. Pochyliwszy się w głębokim ukłonie przed świętym sakramentem dopiero dostrzegła mnie i — na sekundę znów zawrzała:

— Znowu ty! Czo tu robisz?

Stuk jednak konfesjonału, a potem chrząknięcie prałata zwróciło jej uwagę, bo nagle zlągnęła, zniżyła głos do szepta: „Modli się, modli! Załuj za grzechy!” i — przeżegnawszy się, oddaliła się w ciemność.

Poszła, ale ja wiedziałam już, że mi nie uwierzyła. Nie uwierzyła w nic, co powiedziałam w kancelarii księdza prefekta. I swojego upokorzenia — nie zapomniała.

I ja tej twarzy do dziś dnia zapamięć nie mogę. Dawno już pył czasu przysypał naiwne dziecięce lata, miejsce siostr zajęli inni wychowawcy, miejsce przełożonych i księży prefektów — prefekt „świeckiej” władzy — lecz ta twarz raz po raz wychyla się spod między twarzy czujnie na nas patrzących. Ta twarz, napiętnowana fanatyzmem tropienia błędów ludzkich nawet tam gdzie ich nie ma, patrzy zewsząd.

WANDA KARCZEWSKA

Redaguje Zespół. Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka”
Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł
Redakcja nie zamawia rekwizytów nie zwraca
Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK
„Ruch” — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO — Łódź 7 - 6-578
z oznaczeniem nr „Odgłosy”
Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17. Z. 2370. VIII. 58. M-16.

odgłosy str. 11



Miśkanki FILMOWA

95 minut w kinie

„HOTEL DU NORD“

„Hotel du Nord“ ma dwadzieścia lat, ale — co za paradoks! — dobrze się stało, że oglądamy ten film dopiero dzisiaj. Bo „Hotel du Nord“, to nie tylko obraz z leżką (w typie swojego przyrodniego brata — „Ludzi z mgłą“), na wskroś sentymentalny, może nawet do przesady. Ten film to także cenne zjawisko w naszym dzisiejszym życiu kinowym, pozwala bowiem przeprowadzić konfrontację, narzuca spostrzeżenia. Dwadzieścia lat, to kawał czasu. Widowisko uległo przekształceniu. Wtedy — dyktowało widzowi nastrój, teraz — zabiega o jego względy. Roztacza przed nim wyszukane uroki, potrząsa pałami ogonem wszystkich kolorów tęczy. Staroświecki, czarno-biały „Hotel du Nord“, film nie panoramiczny i nieefektywny — znajduje nasze staroświeckie gusta, stęsknione za tymi minutami projekcji, które nam daje Marcel Carne. Dawne znajome i dawni znajomi, Annabella, Jean Pierre Aumont, Arletty i Louis Jouvet — mają tu kreacje, pod którymi będziemy ich teraz odnajdywać w pamięci.

za mgłą“. Jest to dla mnie przykładem, że są to filmy niezwykle. Bo po zwykłym, tuzinkowym obrazie, jeśli się go obejrzy z uwagą kilka razy — dostać można ataku furii, albo na zawsze odczytać się kina.

„Hotel du Nord“ urzeka literackością, która pozornie wydaje się niefilmowa. Sytuacja bohaterów dramatu jest nierealna, wymyślona. Dlatego nasza widownia ogląda obraz z zachowaniem dystansu, z nutką pobłażania, a bez chusteczek przy twarzy. Ta sama widownia, która jeszcze miesiąc temu, przy filmie „Leq żurawie“ nieraz pozwoliła sobie na łzy, a wcześniej jeszcze, na „Wcielonym diable“ płakała bez przerwy, chociaż jej się retrospekcje myliły i nie zawsze wiedziała o co chodzi. Rzecz w tym, że niektóre pomysły fabularne się starzeją a inne nie. Powikłania losu bohaterów „Hotel du Nord“ nie ze wszystkim mieszczą się w psychice współczesnego widza, który do hotelu — owszem — pójdzie z dziewczyną, ale nie po to, by popełnić samobójstwo. Oto koniec epoki romantycznych gestów i koniec ich wiarygodności. Jeszcze jeden sprawdzian, uzyskany dzięki filmowi Marcela Carne.

A więc do paryskiego hotelu przychodzi dwoje młodych ludzi, Renee (Annabella) i Pierre (Aumont). Dostają pokój nr 16 i mają popełnić samobójstwo. O ile jednak zamiar kochanków jest nieco wczorajszy, tak identyczne hotele jak ten, spotyka się po dzień dzisiejszy w Paryżu. Mało tego, nawet opłata się nie zmieniła i dalej wynosi owe 500 franków, których żal jest hotelarzowi gdy Renee odjeżdża do szpitala.

Dlaczego jednak zdradzam treść filmu, co sprzeciwia się przyjętej przez sprawozdawców regule? Nie jest to przypadek. Postąpiłem celowo mówiąc o parze mło-

PORWANO BASIE KWIATKOWSKĄ?



Czy to prawda, że reż. Polański porwał (za jej zgodą) — „gwiazdkę“ Basie Kwiatkowską za festiwalu w San Sebastian, żeby ożenić się z nią w Paryżu? Niestety, w chwili oddawania numeru do druku wszelkie informacje dotyczące tej sprawy pozostają niewyjaśnione.

dych, którzy przychodzą tu, żeby skończyć swoje niedobre życie. Gdy się o tym wie, kiedy się czeka na ich przyście już od pierwszej sceny filmu, wtedy inaczej ogląda się jego zawiązanie akcji, wtedy wyraźniej dają się rozpoznać szwy reżyserii. Kilkanaście osób siedzi przy stole, kilkanaście osób przekomarza się z sobą. Piętro wyżej komuś jest z kimś źle, a na dole, w głębi za rozbawionym stołem otwierają się drzwi i staje w nich nieważna para, która prosi o tak mało ważną rzecz, jak klucz do pokoju nr 16. Tak zaczyna się dramat nieistotnych spraw i niepotrzebnego życia. Tak zaczyna się film wystawiony do etykietowania, czekający na okrutną wyzłomaczkę. Już gdzieś przeczytałem o „prekursorstwie egzystencjalizmu“, o „katastrofizmie i symbolizmie“. Dlatego „Hotel“ pojawia się na naszych ekranach teraz, a nie kilka lat temu. Stokrotnie jednak dzięki Radzie Repertuarowej, bo ten film przychodzi z jednej strony w dzień ogórków, z drugiej zaś — fajerwerków. Łaska wi Czytelnicy! Jeśli nie wi-

dzieliście jeszcze filmu „Hotel du Nord“ — to radzę — idźcie do kina. Biorę ten krok na swoją odpowiedzialność i przyrzekam, że czas stracony przez Was nie będzie.

EDWARD ETLER

FILMY, KTÓRE ZOBACZYMY W SIERPNIU:

W sierpniu zobaczymy na ekranie następujące filmy: „Siedmiu złodziei“ (prod. wł.), „Historie jednego myśliwca“ (nowy film produkcji polskiej, omówiony przez nas w numerze z ubiegłego tygodnia), „Klub kobiet“ (produkcja franc.), „Walko nie“ (film włoski, bardzo ciekawy), „Zbrodnia i kara“ (film francuski, będący swobodną adaptacją Dostojewskiego, zapowiadany u nas kłopskim zwłastunem), „Mord w Berlinie“ (prod. NRD), „Dziewczyna z domu poprawczego“ (NRD), „Dolina pokoju“ (film jugosłowiański), „Zapaśnik i blazen“ (produkcji radzieckiej) i „Wybuch“ (produkcji rumuńskiej).

Naśladowanie życia

3 miesiące temu, opinie publiczna świata wstrząsnęła wiadomością o morderstwie dokonanym w luksusowej willi w Hollywood. 14-letnia Cheryl, córka słynnej aktorki filmowej Lany Turner, zabiła nożem kochankę swej matki, młodego gangstera Jimmy Stompanato. Nazwisko Lany figuruje na czołowym miejscu w kronice hollywoodzkich skandali. Lecz skandal skandalowi nierówny. Obecnie prasa publikuje zdjęcia roześmianej i spokojnej aktorki, dyskutującej z reżyserem nad swoim nowym filmem o niedwuznacznym tytule „Naśladowanie życia“ (Imitation of Life). Treść filmu ludzko przypomina niedawno rozegrane tragiczne wypadki. Turner będzie więc grała samą siebie. Prasa francuska twierdzi, że z chwilą ukazania się filmu na ekranach, skandal wybuchnie z nową siłą. Opinia publiczna uważa, że aktorka z racji swej kary-



godnej lekkomyślności jest właściwą sprawczynią dramatu. Czyż można jednak osobistą tragedię wykorzystywać dla zdobycia większego rozgłosu i traktować jako doskonałą reklamę? No cóż, de moribus non est disputandum.

SKAT

Kwiatek panoramiczny

„Chleb, miłość i...“

„Chleb, miłość i...“, to panoramiczny kwiatek naszego repertuaru, dosyć długo oczekiwany. Przede wszystkim ze względu na kształt, potem na udział więcej legendarnej niż znanej z widzenia Sophii Loren, a wreszcie widownia nasza ośmięła nań sobie zęby — bo jest to film beztróski, akurat na lipiec i sierpień, gdy na innym trudno jest w kinie wysiedzieć. Sophię Loren przeciwstawiano niedługo Ginnie Lollobrigidzie. Teraz zauważamy, że aktorki te reprezentują innego typu walory zewnętrzne, ale niemal identycznie przedstawia się skala posiadanego przez nie geniuszu odtwórczego, który jest znikomy. Proszę się w tym miejscu nie krzywić i nie wołać o pomstę do nieba. Tak już jest odkad, kino kinem, że aktorki na-

wel popularne, dzięki tym czy innym sensacjom swojej osobowości (fizycznej) — grają w filmie zawsze tę samą rolę; pokazują się. Za to Vittorio de Sica — musi już nie tylko pokazywać swą miłą zresztą powierzchowność, ale jeszcze na dodatek grać. Wobec mężczyzny bowiem, ekran bywa bezlitosny, bezwzględny i wymagający.

Tutaj, w „Chlebie, miłości i...“ — De Sica jest podtatulowanym mocno panem, który aż do przesady ufa swoim męskim powabom. Nie przychodzi mu to ze zbytnim trudem, jako że na codzień, (przynajmniej pod względem zewnętrznym), tworzy tę samą postać w stopniu dosyć wystarczającym na to, żeby na ekranie powstała sylwetka wyjątkowo przekonująca. Ale łapie mnie gaffolodzy i pocziwi wzmiankarze, łapie mnie dowcipniści, którzy pracowicie zapelniają „Ośle łączki“ i „Nasze obiektywy“. Nie wiecie dlaczego? Pomogę, pomogę: wielka to brednia, dowodzić przy okazji średniego, rozrywkowego filmu, że któraś z postaci jest przekonywająca w większym stopniu niż pozostałe. Zawinił upał, chleb, miłość i...
METODY



★ EKRAKIK ★ EKRAKIK ★ EKRAKIK ★ EKRAKIK ★ EKRAKIK ★ EKRAKIK ★

Z OSTATNIEJ CHWILI

„LALKA“ na EKRAKIE?

OBRAZEK I (Reportaż z planu)

— Panie Wokulski! Proszę zbliżyć się i położyć szyję na szynach. O tak, jeszcze kawałek szyi, świetnie. Teraz lokomotywa, proszę więcej dymu, jeszcze więcej. O, o, o...
— Kolejarz! Gdzie jest Kolejarz? No! Biegnie pan do Wokulskiego i ciągnie go pan za nogi. Właśnie tak, możemy zaczynać, proszę o klaps.

OBRAZEK II (Fragment scenopisu)

Pokój w Domu Akademickim, piętrowe łóżka, szafa, Kamera na wózku, najazd na Studenta I. w głębi Student II.

Student I: — Trzeba będzie zdać ten lektorat. Znów nam cofnęli stypendium, a stolówka nie zapłacona. Odwraca się i wychodzi z kadru, zbliża się Student II.

Student II: A co Wokulski radzi?
Student I (głos spoza kadru): — Zeby zdać.
Student II: — No to zdamy, cholera. Przecież trzeba jeść.

OBRAZEK III (Propozycja finału)

Wysoko usypana kupa gruzów, nad którą unosi się chybotałiwa smużka dymu. Głos narratora.

Narrator: — Był Wokulski. Był i już go nie ma. Oto typowa postać bohatera naszych czasów. (Podniosła w nastrój muzyka, chóry, koniec).

POSŁOWIE: Powyższe obrazki same powstają w wyobraźni, z chwilą, gdy dobiega nas wieść, iż pewien zdolny reżyser planuje nakręcenie „Lalki“ wg znanego ostatnio tylko maturzystom, a głośnego w swoim czasie pierwowzoru Bolesława Prusa. Proponujemy zawczasu rozpisać konkurs na gwiazdę, która kreować będzie postać Izabelli. Bo co do pozostałych obsady, to zapewne wyglądać ona będzie następująco: Wokulski — Gustaw Holoubek,

Rzecki (okres wojskowy) — Tadeusz Fijewski, (wspomnienia) — Jan Kurnakowicz itd. Czas wykaże, czy mieliśmy rację. Zachodzi tylko pytanie, czy realizatorzy dzieła uwzględnią przy nakręcaniu „Lalki“ popularne studium prof. Jana Kotia?

POŚPIECH NIEZWYCZAJNY A SYMPTOMATYCZNY

Niedawno wydana została nakładem Filmowej Agencji Wydawniczej monografia Gerarda Philippe'a pióra p. Kazimierza Dębickiego. Aczkolwiek sam pomysł wydawnictwa monografii znanych autorów, a nawet aktorów filmowych wydaje nam się zreczy, to jednak tym razem można wyrazić zdziwienie. Przede wszystkim dlatego, że Gerard Philippe, cel wczorajszych westchnień pensjonarek — jest jednak aktorem raczej młodego pokolenia, dzięki czemu swą karierę ma jeszcze przed sobą i które, może się zrehabilituje.